

BEZ WYTCHNIENIA
POLSCY TŁUMACZE

nowa powieść
WACŁAWA
BILIŃSKIEGO

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 9 (1003)
27 LUTEGO 1977 R.
CENA 3 ZŁ



GENETYKA

ADAM CZERSKI

CHROMOSOM ZBRODNI NIE ISTNIEJE

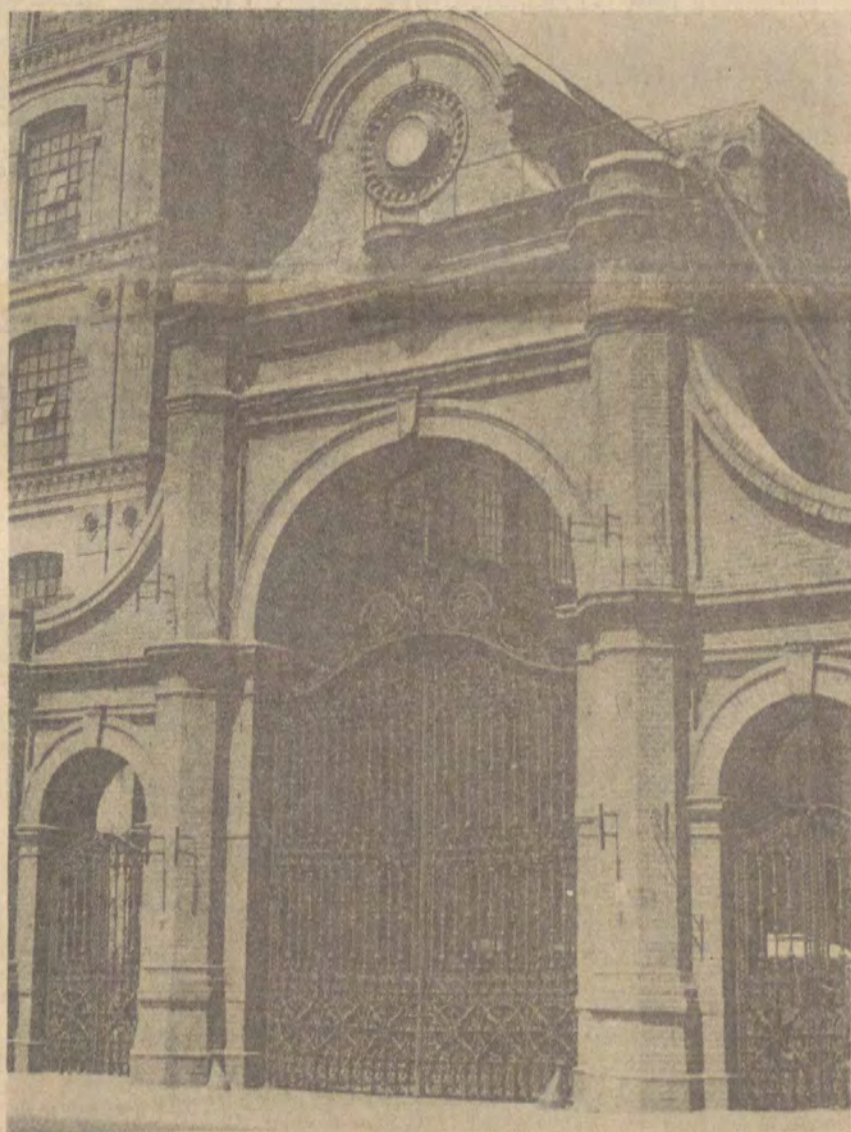
Czyżby mit chromosomu zbrodni, predestynujący jakoby jednostki nim obdarzone do popełniania ciężkich czynów przestępczych, został definitywnie rozwiązany? Tak przynajmniej twierdzi zespół wybitnych specjalistów w dziedzinie psychologii, genetyki, kryminologii, którzy przez ponad cztery lata prowadzili skrupulatne i bez precedensu w annałach genetyki badania, dotyczące tego skomplikowanego problemu. Obiektem ich była Dania, a ściślej 31436 jej obywateli, zaś owe rewelacyjne brzmiące wyniki prac dwunastoosobowego zespołu naukowców zostały podane do wiadomości publicznej na łamach amerykańskiego tygodnika „Science” w sierpniu 1976 roku. Co było przyczyną podjęcia tak szerokiego, jeśli brać pod uwagę ich zakres i skalę, badań? Jaki cel przyświecał temu przedsięwzięciu?

ODKRYCIE PATRYCJI
JACOBS

Aby udzielić sobie odpowiedzi na te pytania, trzeba z konieczności odwołać się do wyników dotychczasowych prac badawczych, jakie podejmowano dla określenia wpływu anomalii chromosomowych na zachowania jednostek, u których one występowały. Jak wiadomo, normalny człowiek posiada 23 pary chromosomów, przy czym są to 22 pary tzw. autosomów oraz para chromosomów płciowych (u mężczyzny XY, u kobiet XX). Zdarzają się jednak zaburzenia dotyczące chromosomów płciowych, powodowane np. obecnością dodatkowego chromosomu Y, co prowadzi do tzw. zespołu Klinefeltera. Występowanie owego dodatkowego chromosomu stało się już wiele lat temu przyczyną pojawienia się w prasie

Dalszy ciąg na str. 7

HISTORIA ŁODZI



JÓZEF POTĘGA

ŚLUSARSKI OBYCZAJ CIEKAWY JEST NADZWYCZAJ...

Działo się to w czasach, gdy Łódź była ziemią obiecaną, do której ciągnęli ludzie z całej Europy, a przede wszystkim z ubogich wiosek i miasteczek okolicznych. Wówczas, w 1827 roku, wyrastały wielkie fortuny i wybuchały wielkie skandale, rosły mury tkalniczej przędzalni, a jednocześnie szalały pożary, obliczone na zdobycie wysokiej premii asekuracyjnej. Wyrastały jak grzyby po deszczu kolonie słynnych domków tkaczy, z których już wkrótce w Łodzi i śladu nie zostanie, jak nie zostało po najcenniejszych zabytkach „proletariackiej cywilizacji” tamtych czasów, stojących niegdyś przy Piotrkowskiej między ul. Wigury i Brzeźną...

POCZĄTKI

Wtedy to, w 1827 roku, burmistrz miasta Karol Tangerman, sporządzając dla komisarza Obwodu Łęczyckiego wykaz zgromadzeń rzemieślniczych miasta Łodzi, wymienia także połączone Zgromadzenie Ślusarzy i Kowali, zrzeszające 12 majstrów oraz 16 czeladników i uczniów, którymi przewodził starszy cechu Fryderyk Sellin i podstarszy — Marcin Meyer.

Kryzys gospodarczy związany z powstaniem listopadowym 1830 r., zahamował nieco rozwój rzemiosła, tak że w sześć lat później cech liczył 20 majstrów, wśród których 6 było nie-

piśmiennych, a zarówno starszy cechu Gottlieb Weysling, jak i podstarszy — Andrzej Chałupski, podpisywali się krzyżkami.

Ale byli to naprawdę mistrzowie w swoim fachu i niech nas nie myli ich brak umiejętności czytania i pisanie. Kwalifikacje zdobywało się wtedy latarni, ucząc się zawodu u wielu majstrów. Uczeń, czyli terminator, a właściwie jego rodzice lub opiekunowie, za naukę musieli oczywiście zapłacić i na naukę do dobrego majstra dostać się było niełatwo. Po latach

Dalszy ciąg na str. 6

NAUKA

PAWEŁ PATORA

KONIEC EPOKI BETONU?

Gdy po raz pierwszy usłyszałem, że naukowcy z Politechniki Łódzkiej pracują nad cienkościnnymi konstrukcjami budowlanymi, przyszła mi na myśl anegdota o lokatorze, który chcąc powiesić obraz, wbił gwóźdź i przybił nim sąsiada opartego o ścianę po przeciwnej stronie.

Do cienkich ścian odnosimy się nieufnie. Wielu mieszkaniowców nie dogodności, takich jak hałas dochodzący z ulicy, przymusowe wystuchiwanie kłótni u sąsiadów, czy wreszcie letnie upały i zimowe chłody, można by uniknąć, gdyby ściany były solidne, to znaczy o tych kilkanaście centymetrów grubsze, jak to ongiś bywało. Mieszkania w starych, masywnych kamienicach są przecież zna-

cznie lepiej izolowane od zewnętrznych wpływów akustycznych i termicznych. Chcemy mieszkać wygodnie. Może więc skorzystać ze starych dobrych wzorów w budownictwie?

NOWE TWORZYWA

Naukowcy dowodzą, że poprawa komfortu w użytkowaniu mieszkań nie musi, a nawet nie powinna, następować w drodze pogrubienia elementów budowlanych. Trzeba tylko znaleźć takie materiały, które posiadałyby odpowiednio wysokie walory izolacyjne i wytrzymałościowe. W tym celu specjaliści od budownictwa sięgnęli po dorobek burzliwie rozwijającej się nowej dziedziny wiedzy, jaką jest inżynieria materiałowa. To

Dalszy ciąg na str. 5

KROKI KAMERALISTÓW

Kameralistyka operowa wcale nie jest ubogą krewną „wielkiej” twórczości operowej, jak nieraz mniemają ci bywalcy teatru operowego, którzy z tamtą formą nie mieli sposobności się zetknąć, a wiedzą tylko, że reprezentuje ona utwory o niewielkiej obsadzie i zazwyczaj znacznie krótsze od „normalnej” opery, skłonni są więc mieć ją za coś późniejszego. A w dodatku te rzeczy tak zdawałoby się łatwe do zmontowania (bo mniejszym nakładem sił i środków), wystawiane mimo tego tak niezmiernie rzadko, już tym samym nasuwają niejasne podejrzenia, że na wielkie względy nie zasługują. Widz lubi, żeby mu za jego pieniądze dawano „dużo” rzeczy pewnych i wypróbowanych — jak najwięcej osób, kostiumów, dekoracji, wszelkiej oprawy i wyposażenia. Czy nie bywa tak też z kameralistyką instrumentalną? Czy nie działa trochę to „prawo” nawet w teatrze dramatycznym?

A tymczasem rzecz nie w tym, czy mówi się wielkim głosem, czy tonem bardziej intymnym i jeśli nie brak nieporozumień i uprzedzeń, to część winy ponoszą stale niedostateczne usiłowania w zapozna-

waniu ludzi ze sztuką kameralną i w nieumiejętnym jej propagowaniu. Żeby się rozszkapać trzeba wprawdzie dobrze ją poznać, zwłaszcza że nie jest łatwiejsza ani dla odbiorców, ani dla wykonawców, wymaga bowiem — po tamtej stronie rampy — wyjątkowo dużej precyzji podania, a po tej, po naszej stronie — znacznej koncentracji psychicznej i skupienia uwagi.

Chyba warto o tym przez chwilę pomówić, skoro już Teatr Wielki powziął chwałebny zamiar wprowadzenia do swojego repertuaru kameralistyk na doraźnie przysposobionej scenie, której rolę spełnia, w braku specjalnej sali, teatralne foyer. Ale zapewne nie z powodów tych jakby tymczasowych warunków mówi się jeszcze o „eksperymentach”, lecz wyłącznie z niepewności, czy „chwyci” ta rzecz nie mająca za sobą dość silnej u nas tradycji.

Zainaugurowano działalność kameralną trafnym wyborem „Zamku na Czorsztynie” Karola Kurpińskiego, którego szerza publiczność zna przede wszystkim jako twórcę „Kra-kowiaków i górali”, a mało kto wie, że jest on kompozytorem

przeszło trzydziestu utworów na scenę (oper, melodramatów, baletów) i różnego rodzaju kompozycji, wśród nich muzyki do „Warszawianki” („Oto dzień dzień krwi i chwały”) czy nabożnej pieśni „Kiedy ranne wstają zorze”.

Jego wybitny, choć może niezupełnie oryginalny talent ceniony był już za życia wysoko i chyba też trochę znany za granicą, jak o tym świadcząby stosunkowo obszerne noty we wcześniejszych wydaniach słynnego niemieckiego leksykonu muzycznego Riemanna. W każdym razie „Zamek” jest utworem pełnym wdzięku, o dużej inwencji melodycznej, dającym pole do wokalnemu popisu, a prościutka, bezpretensjonalna fabułka zawiera sporo zarówno lirycznych, jak i komicznych sytuacji, dzięki czemu audytorium dobrze bawi się przez godzinę i kwadrans.

W tym premierowym sukcesie zasłużyło się bardzo staranne muzyczne i reżyserkie przygotowanie dzieła i godne wielkich pochwał wykonanie. Już w pierwsze takty uwertury, granej do końca tak precyzyjnie, że z łatwością chwytają się uchem całą fakturę,

prowadzonej z wdziękiem i lekkością przez Tadeusza Kozłowskiego, wprowadziły w nastrój oczekiwania jakiejś romantycznej i tajemniczej przygody, która ma oto rozegrać się na dzielącym foyer poprzecznicę podium, po którego obu stronach rozmieszczono symetrycznie widownię. Funkcjonalność tego rozwiązania jest w danych warunkach bezsporna, zwłaszcza, że piękne szerokie, właśnie pałacowe schody, wiodące z foyer na górny korytarz, sprowadzały aktorów „z głębi zamku” na scenę, która przedstawia sobą niby sieni, niby przejściową komnatę, w której goście zazwyczaj oczekiwali na zjawienie się gospodarzy. W ten naturalny sposób scena realizowała niezbędną jedną miejscem akcji, a zabudowana została w najlepszej zgodzie z prawdopodobieństwem sytuacji i ze scenicznym przeznaczeniem.

Owo podium, ogrywane było sprawiedliwie (wobec widzów) na przemian na oba boki, co wymagało od reżysera niemało pomysłowości. Ale jak się to przerobi w warunkach zamierzonych objawdów, gdzie nie będzie symetryczności widowni?...

Mimo niecałkowitej jeszcze płynności ruchu akcja toczyła się wartko, a arie wykonywane były znakomicie. Trójcy wytrawnych i bardzo muzycznych śpiewaków: Zdzisław Krzywicki (Dobrosław), Maria

Szczuczka-Kudanowska (Warda) i Jadwiga Pietraszkiewicz (Lucja) dotrzymywały kroku bardzo obiecujący młody tenor o pięknym głosie — Janusz Marciniak (Bojomir), student łódzkiej uczelni muzycznej. Osobne słowa uznania należą się zaangażowanemu do roli komicznej (Nikity) aktorowi Teatru Nowego, Bogdanowi Baerowi, który arcydzielnie radził sobie z zadaniami wokalnymi, a wręcz doskonale zarysował sylwetkę wiecznego strachajły, do czego konieczny był szeroki wachlarz środków scenicznych, którymi rozporządza właśnie aktor dramatyczny. Doskonale wypadły zespoły mimo pewnych jeszcze nieobronności rytmicznych, np. w pierwszym tercecie I aktu (orkiestra usytuowana jest dość daleko).

Wiele przemawia za tym, że „eksperyment” przetrwał jako stała wartość, wzbogacająca życie kulturalne Łodzi.

JERZY KWIECIŃSKI

Karol Kurpiński: „Zamek na Czorsztynie, czyli Bojomir i Wanda”, opera w dwóch aktach. Libretto: Józef Wawrzyniec Krasziński. Kierownictwo muzyczne Tadeusz Kozłowski, reżyseria Andrzej Zarnecki, scenografia Anna Bobrowska-Ekiert. Przygotowanie solistów

ŁÓDZCY JUBILACI

Przed kilku dniami w Klubie Dziennikarza odbyła się uroczystość wręczenia dyplomów honorowych za 30 lat pracy w dziennikarstwie PRL i medali za 25-letnią służbę w tym zawodzie — przyznanych przez Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Dyplomy za 30 lat pracy otrzymali: red. red. Irena Beck, Leopold Beck, Adam Bieńkowski, Józef Kononowicz, Irena Kawczak, Zdzisław Królowski, Zbigniew Skibicki, Zofia Tarnowska, Eryk Zieliński i Kazimierz Zygmund. Medale za 25 lat pracy przyznano: red. red. Stanisławowi Gromcowi, Januszowi Krajewskiemu, Jerzemu Pilichowskiemu, Henrykowi Sroczyńskiemu, Włodzimierzowi Stokowskiemu, Waldemarowi Uchmanowi i Halinie Żyżce.

Dyplomy i medale zaśluzonym dziennikarzom wręczyła przedstawicielka Prezydium ZG SDP — red. Irena Dryll.

KONCERTY W ZAMKU ZYGMUNTA

Od 7 lat w zamku Zygmunta Starożytnego, siedzibie Muzeum Okręgowego w Piotrkowie Trybunalskim urządzone są raz w miesiącu koncerty muzyki dawnej. Tegoroczny cykl inaugurował kwintet dęty z Pragi, grając m. in. utwory Bedricha Smetany. Do udziału w zamkowych koncertach zapraszani są wybitni instrumentalści i wokaliści z kraju i zagranicy.

KONKURS NA DRAMAT SCENICZNY

Wydział Kultury Urzędu M. Łodzi, Związek Literatów Polskich — Oddział w Łodzi oraz Wydawnictwo Łódzkie ogłosiły podczas Wiosny Artystycznej 1976 r. konkurs na dramat sceniczny, który rozstrzygnięty zostanie w tegorocznych Łódzkich Dniach Literatycznych.

W konkursie preferowane będą utwory o tematyce patriotycznej i obywatelskiej, stojące na wysokim poziomie artystycznym. Ilość nadesłanych prac jednego autora jest nieograniczona. Utwory powinny być sporządzone w formie maszynopisu w 3 egzemplarzach oraz zaopatrzone w godło autora. Należy je nadsyłać do Łódzkiego Domu Kultury, Biuro IX Łódzkiej Wiosny Artystycznej, 90-113 Łódź, ul. Traugutta 18 z dopiskiem Konkurs Dramatyczny. Do tekstu powinna być dołączona koperta, zawierająca godło autora oraz dokładny adres.

Termin nadsyłania dramatów scenicznych upływa z dniem 31 marca 1977 r. O terminie wpływu decyduje data stempla pocztowego.

POLSKI FILM KANDYDUJE DO „OSCARA”

W Los Angeles ogłoszono listę kandydatów do tegorocznych nagród „Oscara”, przyznawanych już po raz 49 przez amerykańską Akademię Filmową.

Wśród filmów zagranicznych znalazły się „Noce i dni” reż. Jerzego Antczaka wg powieści Marii Dąbrowskiej. Ostateczny werdykt jury będzie w dniu 28 marca br. W tym samym dniu odbędzie się wręczenie nagród.

POWODZENIE „KARTOTEKI” W GENEWIE

W teatrze „Carouge” w Genewie odbyła się premiera sztuki „Kartoteka” Tadeusza Różewicza. Sztuka spotkała się z żywą reakcją i przychylnym przyjęciem ze strony publiczności.

NAGRODZONE WSPOMNIENIA

Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazał się tom „Gorące dni, gorące lata” zawierający wybór wspomnień nagrodzonych lub wyróżnionych w konkursie urzędu miasta Łódź. Wspomnienia dotyczą lat okupacji i powojennej odbudowy miasta.

DLACZEGO NIE WIEDZIAŁEM O TYM WCZEŚNIEJ?

Elementarnym obowiązkiem człowieka wobec drugiego człowieka jest niesienie mu pomocy i ulgi w jego nieszczęściu i cierpieniu.

W codziennej krzątaninie, w nawale własnych trosk i spraw nie myślimy o nieszczęściu ludzkiem, bo wiadomo przecież, że ono na świecie istnieje, że jest i że niewiele na nie można poradzić. Nowotwór, katastrofa samolotowa, umierające z głodu afrykańskie dzieci, wypadek samochodowy, powódź, trzęsienie ziemi... Ież tego. Lepiej nie myśleć. Dopóki nieszczęście nie zapuka do naszych drzwi. Dopóki nie zetknemy się z nim twarzą w twarz. A wtedy...

Wtedy gotowiśmy poruszyć niebo i ziemię, żeby tylko pomóc, zaradzić odrobine, chociaż na jotę, na ulamek sekund, czasem nie, czasem tak, jak często po prostu nie mamy na to środków. Czasem jest już za późno, czasem czegoś jeszcze nie wymyślono, nie odkryto, nie zbadano. Wtedy wyrwa się nam z zacienionego gardła pretensja-przekleństwo: W kosmos latają, a z czymś takim nie mogą sobie poradzić! Kto z nas nie odczuwał chociaż raz w życiu tego okrutnego, bolesnego ciężaru, gdy nieszczęście trwa i nie można nic na nie poradzić, gdy się jest jego niemy, bezradnym świadkiem? Złuszczając, gdy doświadcza go ktoś nam bliski, najbliższy. Wreszcie, gdy wyklucza ono nas samych z kręgu ludzi normalnie żyjących, ze społeczeństwa, z aktywnego życia.

*

Siedzę wygodnie w fotelu. Okno zaciągnięte kotarą, półmrok, na biały ekran rużniczek z suchym trzaskiem wyświetla nieśpiesznie barwne slajdy. Twarze kobiet i mężczyzn. Młode w średnim wieku, stare. En face, z profilu, z góry, z dołu. Wstrząsająca projekcja ludzkiego nieszczęścia. Najpierw poraża mnie sam obraz. Po chwili zdaję sobie sprawę, że za każdym z tych kolorowych zdjęć stoi — jak bezliśtosy, nieustępliwy cień — los człowieka, konkretnego, żyjącego człowieka. Zjącego? Nie — zaledwie żywego.

Pozornie beznamiętny głos objaśnia, w rytm trzasku rużniczek, rodzaj choroby lub wypadku, charakter dokonanego zabiegu, stan faktyczny pacjenta po opuszczeniu szpitala. Nie

będę tego powtarzał, nie znam się na medycynie. Myślałem, że wiem coś nie coś o ludzkim nieszczęściu. Okazuje się, że wiem niewiele.

Jestem w Poradni Protez Twarzy przy Wojewódzkiej Przychodni Rehabilitacyjnej Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego im. M. Kopernika w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 109. Dwaj lekarze, doktor Andrzej Kopezyński, kierownik przychodni i doktor Jacek Ciesielski oprowadzają mnie cierpliwie po labiryncie ludzkiego nieszczęścia. Nie dziwie się, że eksponują tu na każdym kroku nieszczęście ludzkie, tragedię chorego człowieka, miast pisać o samych chorobach, o medycynie. Na niej się, jak już znalazłem, nie znam, a w Przychodni Protez Twarzy znalazłem się dlatego, że zainteresowałem mnie moralnym i społecznym aspektem sprawy, którą chcę opisać. Temat to może i nie najwznieślijszy dla tygodnika, jednak jego istota, w efekcie końcowym, jest zbawieniowa dla wielu ludzi. A może się zdarzy, że ten artykuł pomoże jeszcze innym? Życząc tego nie sobie, jako autorowi, ale ludziom dotkniętym nieszczęściem i ludziom, którzy niosą im skuteczną pomoc.

Na ekranie rużniczek wytrąskuje kolejne zdjęcia, kolejne twarze:

- twarz kobiety po usunięciu nowotworu; w miejscu policzka i oka zięjący krater;
- twarz bez nosa;
- twarz mężczyzny bez oka;
- twarz bez oka, nosa i policzka;
- głowa bez małżowiny usznej;
- twarz... twarz... twarz...

W Poradni przez cztery lata jej istnienia znalazło pomoc blisko 100 osób. Dużo? Mało? Ze statystycznego punktu widzenia zapewne niewiele. Są poradnie, które taką liczbę obsługują w tydzień. W aspekcie ludzkim — dużo. Powiedziałbym — niewymiernie dużo.

Poradnia mieści się w pięciu małych klinikach: poczekalni, gabinecie zabiegowym, pracowni (jako że tu się robi wszystko na miejscu). Kierownik Poradni, doktor Andrzej Kopezyński wyjaśnia mi istotę pracy Poradni.

— „Wykonujemy zewnętrzne protezy twarzy i „montujemy” gałki oczne. W przypadkach pooperacyjnych czy pourazowych ubytków twarzy, chirurgię plastyczną jest bezsilna.

Pacjent wychodzi ze szpitala bez nosa, ucha, oka, policzka i jest pozostawiony samemu sobie. Praktycznie znajduje się poza nawiasem. Okaleczenia twarzy są tego rodzaju, że normalne współżycie w społeczeństwie dla ogromnej większości staje się niemożliwe albo niezwykle trudne. Nie trzeba chyba mówić o tym, jak taka sytuacja wpływa na stan psychiczny chorego i na stosunek do niego najbliższego otoczenia. Nasza poradnia może takim ludziom pomóc, jeżeli, oczywiście, zgłosi się on do nas. Jeżeli się zgłosi — bo stosunkowo niewielki procent naszych potencjalnych pacjentów wie o nas. Dlaczego? Po prostu brak odpowiedniej i skutecznej informacji. Jesteśmy jedyną tego rodzaju placówką w Polsce. Ministerstwo rozesłało do lekarzy wojewódzkich informacje o istnieniu naszej poradni. Rozesłało, o tym wiem na pewno...”

Na ekranie znowu dokumentacja. Te same twarze, które oglądałem przed chwilą straszliwie okaleczone, widzę teraz po dokonaniu zabiegu, po „zamontowaniu” protez. Są one ruchome, do zdejmowania. Różnicy nie odda żaden opis. Zatem krótko — ci ludzie zostali przywrócony życiu. Potwierdzają to zresztą w pełni wiarygodnie przeprowadzone wśród byłych pacjentów, ich listy, słowa wdzięczności. Wielu powróciło do pracy zawodowej, wychodzą na ulicę w dzień, nie wstydzą się i nie szokują swym widokiem najbliższego otoczenia. Czyż trzeba więcej?

Doktor Andrzej Kopezyński i doktor Jacek Ciesielski są absolwentami Oddziału Stomatologii Łódzkiej Akademii Medycznej. Pierwszy przez lat trzynastu, drugi przez lat osiem pracowali jako starsi asystenci w Zakładzie Protezyki Instytutu Stomatologii Akademii Medycznej w Łodzi. Obaj uważają, że pracując w Poradni Protez Twarzy są na swoim właściwym miejscu. Nie napiszę tutaj, że są „zaangażowani” w swoją pracę, „oddani”, „pełni zapału”. Wdzięczność ludzka niech świadczy o ich pracy i o nich samych. W skład personelu poradni wchodzi jeszcze pielęgniarzka (jedna) i „technik”. Dlatego w cudzoziemskiej jest to emerytowany nauczyciel fizyki i chemii, który przychodzi na kilka godzin, żeby rzeźbić ludziom fragmen-

ty ich brakujących twarzy. I właściwie na tym można by zakończyć ten reportaż, bowiem powiedziane zostało wszystko, co najważniejsze, ale to byłoby nieuczciwie. Zarówno w Poradni jak i jej przyszłych pacjentów.

Doktorowi Andrzejowi Kopezyńskiemu pomysł stworzenia placówki, która zajęłaby się protezami twarzy, wpadł stosunkowo dawno, a urzeczywistnił go cztery lata temu. Niczego podobnego w Polsce nie było, natomiast byli ludzie, którym można było i należało pomóc. Jak sprawy protezyki twarzy wyglądały gdzie indziej, doktor Kopezyński nie wiedział, bo literatury na ten temat nie ma u nas żadnej, a po obecnej wiadomo było gdzie się zgłosić. Kompletny brak informacji. Do tej pory ani doktor Kopezyński, ani doktor Ciesielski nie są dostatecznie zorientowani w aktualnym poziomie techniczno-technologicznym wykonywanego przez siebie zawodu. Ktoś tam, oglądając ich protezy, dopytywał się czy to szwedzkie. Paradoxy? Ano, paradoxy. Automatycznie zatem nasuwa się pytanie, czy wciąż obaj panowie nie powinni być wysłani do jakichś ośrodków zagranicznych, aby zapoznać się z tym, co w powyższej dziedzinie aktualnie słychać? Chyba powinni. Robią protezy z tworzyw akrylowych (elastycznych), ale ponoć Amerykanie stosują już tworzywa silikonowe, które są odporne na działania biologiczne i fizyczne, nie ulegają odbarwieniu itd. Czy to ostatni „krzyk mody”? Obaj lekarze tego nie wiedzą. Mimo to protezy robią „jak szwedzkie”. Tylko czy orientując się w „aktualach” nie robiliby lepszych od szwedzkich?

Problem następnego to materia (właśnie tworzywa akrylowe), który jest za dewizy. Nie za ciężkie dewizy, ale zawsze. Dostawy jego trwają zawsze za długo i istnieje zagrożenie niemożliwością, że może się zdarzyć, iż dzięki biurokracji pacjent z Poradni odejdzie bez protezy. A to nie byłoby w porządku.

Mówiłem już o szczupłości pomieszczeń, w jakich mieści się Poradnia. Jako znamienne anegdotalnie opowiedziano mi, że ponieważ wejście do Poradni jest tuż przy szatni, chciano ich onegdaj stamtąd „wykurzyć”, aby powiększyć... szatnię właśnie, którą zaprojektowano za małą dla obsługi całej Przychodni Rehabilitacyjnej (mieści się w budynku niedawno zbudowanym).

Niepełny jest również stan liczebny personelu. Przy aktualnej „frekwencji” pacjentów składa się on powinien z trzech lekarzy no i technika zatrudnionego w pełnym wymiarze godzin, który poza zna-

jomością technologii powinien jeszcze posiadać umiejętność... rzeźbiarską. Problem stanowi także pielęgniarzki. Nie wszystkie — choć za brzmieć to może paradoksalnie — posiadają odpowiednio predyspozycje psychiczne do pracy w tego rodzaju placówce.

Czy koniec listy zażaleń i wniosków? Nie, na pewno nie. Ale ponieważ mój reportaż nie ma charakteru interwencyjnego, więc resztę pomnę milczeniem. Kierownik Poradni, doktor Kopezyński, zapewniał mnie, że władze zwierzchnie są bardzo przychylnie ustosunkowane do samej Poradni i zdają sobie w pełni sprawę z wysokości, moralnej i społecznej rangi efektów jej działalności. Można zatem uważać istniejące aktualnie kłopoty za przejściowe. Oby zostały zlikwidowane jak najspieszniej. Życząc tego Poradni w imieniu jej przyszłych pacjentów.

*

Oglądam w pracowni Poradni gipsowe modele twarzy pacjentów, na których formuje się protezy. Biorę do ręki gotowe — tworzywo podbarwione do naturalnego koloru skóry pacjenta bardzo dobrze imituje skórę. I wizualnie i dotykowo nawet. Protezy inoucie się na twarz pacjenta bądź przy pomocy okularów, bądź też specjalnych, sprężynujących uchwytów chowanych we włosach. Zdumiony jestem prostotą tych urządzeń. Ale nauczyłem się już, że to, co najprostsze — najtrudniejszym jest. I przekonuję się o tym natychmiast ponownie. Doktor Kopezyński pokazuje mi protezę gałki ocznej, z jednej strony normalną, „jak oko”, a z drugiej dziwnie nieforemną, gałkę oczną różniącą się bardzo od standardowych, które przed chwilą oglądałem...

— „Robimy takie gałki oczne metodą wyciskową. Oczodół wypełnia się szczerze specjalną masą. Mięśnie w oczodole pacjenta same rzeźbią tył gałki. Z uzyskanego wzoru wykonujemy właściwą protezę gałki ocznej, która w odróżnieniu od gałki standardowej, posiada wiele zalet. Po pierwsze leży w oczodole „jak ula”, nie drażni tkanek, nie zmusza ich, aby „przyzwyczajały się” do obcego ciała, nie powoduje żadnych urazów. Ponadto istnieje zgodność ruchów protezy oka z okiem żywym. Wymyśliłem tę metodę i w praktyce sprawdziła się ona znakomicie. Myślałem, że to mój wynalazek. Niedawno byłem w Anglii i tam dowiedziałem się, że u nich robią podobnie.

Zadumałem się i przyszły mi na myśl i te drzwi dawno otwarte i ten próch też wymyślony...

ANDRZEJ GRUN

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, WIESŁAW JAŻDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGO RZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI. —GLANC.

Najpierw szlag trafił oborę. Więcej niż drewna i cegły było w niej gliny. Puścili się ulewy, woda podmyła fundamenty i obórka się rozszypała.

Potem przewalila się nad wsią wichura. Wiatr zawył, jak opętany, w obejściu kurzawa, zaskrzypiało cholernie i ze starej stodoły została kupa połamanych desek i krokwi.

Za stodołą leżało w równym kawałku pole, prawie dziewięć i pół hektara. Plakać się chciało, bo gdzie teraz położyć zbiory z tego pola? I gdzie miały stać dwa konie, bez których pola nie obrabi?

A stary Marciniak, tak po prawdzie, to chorował na astmę od dziecięcych lat. Ubezpieczenia jeszcze nie było, przeto ani myśleć o jakiejś budowie, pieniądze szły na leczenie.

Stary Marciniak umarł w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Na pięć lat przed śmiercią, gdy już nie mógł pracować, przekazał gospodarstwo synowi. Marian miał wówczas dwadzieścia pięć lat.

Wkłada Agnieszka do wózka, kołysze; tak ciasno, że łóżeczka nie ma gdzie wstawić...

— Nie było mu łatwo. Przed melioracją to tutaj było strasznie. Teraz zrobili, u nas w porządku, ale u sąsiadów woda stoi. Maniek jeszcze za kawalera wydenował kawałek. Ludzie się cieszyli, jak były suchsze lata. A jak lato, to i nawóz wypłu-

— W plenerze?
— Aha, chciałby pan dokładnie wiedzieć, w którym miejscu, co? On miał dwie panny w tej szkole...

— A ona przychodziła z kolegą, a wracała ze mną...

Anna mówi, że nie miała wielkiej chęci na gospodarstwo. Jak się w polu urodzi, to się człowiek cieszy. A najlepiej zaczynać, gdy się ma budynki. Gorzej, kiedy zaraz po ślubie trzeba myśleć o budowie. Gdyby człowiek posiedział w mieście na lek-kim, to by zaraz poczuł, co to jest robota na wsi. Nie jak się chce, tylko na godzinę. Przyzwyczaiła się i już nie ma takich tęsknot. Bo jak się kto przyłoży, to i w piekło niegorzej...

— A teraz wycieczka — dolewa oliwy do ognia babcia. — Przygoda jaką Cyganicę...

— A niech sięgnie nawet dwie! Do przerywania buraków się przydadzą...

Babcia szepcze mi do ucha, że dawniej to chłop miał sposób na babę, żeby nie uciekla: na zimę trepy, na lato dziecko...

— Ale teraz — dodaje — świat jest postępowy. Wszystko się inaczej zalatwia...

3.

On pierwszy uwierzył, że ziemia da lepszy plon po melioracji. Dlatego też wziął kredyt na budowę, lecz przeznaczył go na meliorację. Trochę kręta, ale bardzo pożytecznego. Zmeliorował na własny koszt trzy hektary. W ubiegłym roku na 1,20 ha miał jęczmień. Zawsze zbierał z tego kawałka 20—25 q. Po melioracji zebrał 73 q.

Potem sprzedał dwa konie i kupił ciągnik z kasacji. Bo rolnik da produkcję, ale nie osiągnie tego rękami. A na SKR nie ma się co oglądać. Jak obsłuży, to nieterminowo. W SKR stare ciągniki, przydziałów na nowe nie ma. A na zakład naprawy przydałyby się bomba. Zreperują, traktor pochodzi 10 godzin i staje. Jemu też nawalił ciągnik. Jak ostatnio było kilka cieplejszych dni, bez śniegu, wysiał rzemień i nawozy na użytki zielone.

W tym roku będzie hektar żyta na ziarno i półtora hektara na zielonkę. Ponadto 3 ha buraka cukrowego, 1 ha jęczmienia, 0,5 ha owsa i 1 ha ziemniaków. Reszta to trawy, takie z koniczynką, więcej paszy niż z łąki. A wszystko po to, żeby poprowadzić hodowlę doświadczeń dojranych krów. No i odchowywać cielęta. Ostatnio oddał 17 warchlaków, ale ze świniami koniec. Jak pójdą, to pójdą, a jak zaczną zdychać, to pij dupa wodę. Potrzeba było więcej pieniędzy na budowę, były świni. Bo to większy nakład i ryzyko, ale i większy jednorazowy zysk. Teraz krowy. Odliczając mleko dla cieląt, jedna krowa winna dać 3 tys. litrów mleka, czyli razem rocznie trzydzieści tysięcy litrów. Opłaci się, bo przy umownej dostawie za czteroprocentowe mleko płać po sześć złotych za litr.

Wychodzimy na podwórze.
— Jak się ta chałupa spaliła, to ręce mi opadły. Trzeba było przeprowadzić się do chlewni. I budować. O, tu jest garaż, może obok ciągnika będzie kiedyś samochód. Dalej kurnik, wprowadziłem tutaj na razie cielaki.

Za kurnikiem Marian pokazuje miejsce na silosy. Wchodzimy do pierwszej części ogromnej, murowanej i krytej eternitem stodoły. Mały Witek oczy ma bystre, niebieskie i wielkie jak matka, zamiata posadzkę przed prowizorycznymi stanowiskami dla bydła. Po drugiej stronie będą nowe stanowiska, widać już metalowe drabinki, potrzebne jeszcze barierki. Marian wszystko to wykonuje własnymi rękami.

— Od silosów zrobicie wejście do stanowisk, żeby wszystko było pod jednym dachem. A tu w rogu muszę wykombinować miejsce na dojarke.

Przechodzimy do stodoły. Marciniak wyciąga z sianki garść nie miłocznego zboża. Kłosa są długie, grubozbiarniste. Stodoła wielka jak kościół.

— Ile ja się namęczyłem z tą stodołą — wspomina. — Ojciec nie wolno było stawiać, bo za stary. Mnie też nie, ponieważ nie byłem pełnoprawnym właścicielem. Pani Dębska z Banku Rolnego miała do mnie zaufanie i jakoś poszło. Budowałem tę stodołę z żoną, babcią i dwoma murarzami. Od kwietnia do października 73 roku. Trzeba było zasować, jak to mówią, bez wytchnienia...

W stodołę znajduje się armatura do nowego domu: umywalka, zlew, pisuar, baterie, piec do c.o. i żeberka kaloryferów. Brakuje hydroforu. Żeby Anna nie zazdrościła siostrze z miasta.

— Miałem jako pogorzecze pierwszeństwo do budowy, ale ustąpiłem innym. Widzi pan, jakie wysokie fundamenty? Będą ładne piwnice. Cement jest, żwir, drut zbrojeniowy i tregry, trochę cegły, a drzewo będzie, jak się zetnie topole. Kupiłem betoniarke i sam nakręciłem pustaków. Weszliśmy roku, mimo wydatków na budowę, kupiłem przyczepę do traktora oraz ciągnikowe brony i kosiarke. Dom domem, a ziemia musi być szybko i dobrze uprawiona. No, ale do tego domu potrzeba jeszcze dużo materiałów. Obiecane na drugi kwartał, a ja chciałbym zacząć już w marcu. Bo potem zwali się robota w polu...

Co rano przejeżdżają przez Popów autobusy, zabierając ludzi do fabryk w Głownie i w Łodzi. Wieś pustoszeje, jest cicha i jakby wymarła; to wrażenie potęguje się zwłaszcza zimą. Robotnika do budowy nie znajdzie. A jak znajdzie, to leci trzy stowy dziennie, jajecznicą i pół litra na lew.

Marian Marciniak został. I sam buduje dom, który nie może być gorszy od tego w mieście.

RYSZARD BINKOWSKI

BEZ WYTCHNIENIA



Foto: Andrzej Wach

kało z pola. Był taki mokry rok, że trzy razy żemmy kartofle musieli sadzić, bo gnły. Jesienią nie można było wjechać na pole nawet koniami, a co tu mówić o traktorze. Przewracał człowiek tę ziemię z boku na bok i nie nie było...

— A dom? — pytam.

— To było w kwietniu zeszłego roku — mówi z powagą Anna. — Dokładnie w Wielki Piątek...

— Tak, tak — potwierdza babcia — zaraz po południu. Anna akurat wróciła z Głowna, a Marian pojechał traktorem w pole, bronował. Sprzątam, jak to przed świętami, a tu wpada Anna i krzyczy, że na górze się pali. Nie wiadomo za co się zapalił. Mąż chory, ta w ciąży, całkiem straciłam głowę...

— Na strychu powstało spieczę — wyjaśnia Anna. — W korytarzu na suficie nie było polepy, tam się najmocniej buzoowało, spaliła się dojarke. Maniek przyjechał, zamknął drzwi, żeby nie było cugu, wskoczył przez okno i zdążył wyrzucić łóżeczko, lodówkę...

— Takie mieliśmy święta. Jedna noc przesiedzieliśmy pod gołym niebem. Jeś nie było co, cielak, cosmy go zabil, też się spalił. Dziadka i dzieci rozwieźliśmy po rodzinie. Cale lato mieszkaliśmy w piwnicy pod stodołą. A teraz tutaj. Tu była chlewnia...

2.

Około trzynastej wrócił Marian. Był w geesie, gdzie chciał się zorientować, po ile idą jałówki. Ma zamiar jedną odstawić.

Usiadł, położył dłonie na stole. Twarz ma drobna, pogodna, ręce wyrobione i duże, jedną zakryłby twarz. Mrugam do niego i mówię głośno:

— Pani Anno! Na traktor pani by wsiadła?

Wystawia głowę zza przepierzenia, śmieje się, zęby ma duże, białe i zdrowe.

— Już panu mówił, co? Jak trzeba, to się wsiada, a jak nie, to nie! Żadna sztuka. Na księżę wjadą, a na traktor nie wsiadzie?

Anna pochodzi z Chlebowic. Do podstawówki chodził oddzielnie, ale do SPR już razem. Teczki jej nie nosił, ale podobno wspólnie lekcje odrabiali.

Marian śmieje się.

— Chciała uciekać, nie ma co ukrywać. Myślę sobie, że jak pójdzie bez dzieci, to koniec ze mną. Ale ona chciała dzieci zabierać. Jeszcze gorzej. Bo jak mi alimenty zasną od dochodowości, to się nie pozbiaram. No więc, żeby miała trochę miasta, trzeba było rzucić forsę na lodówkę, pralkę, telewizor, i kuchnię gazową. Zabrałem ją do kina, na wycieczkę, do teatru, na autorodeo...

— Pan tego nie słucha — przerywa ze śmiechem Anna. — Nie warto pisać...

Piszę. Bo oni żartują i przekomarnają się, jak dzieciaki. Można im zazdrościć humoru, pogody ducha i optymizmu. Nie lamie ich cała masa kłopotów i ciężkiej harówki. Kobiety muszą w tym domu stwarzać dobrą atmosferę, skoro obarczony tyłoma obowiązkami mężczyzna nie traci wiary w siebie i w to, do czego uparcie dąży. Anna twierdzi, że skoro czworo dzieci zabawiła, to i męża zabawi. Ale równie ważna jest babcia. Tak w mieście, jak na wsi — na wagę złota. Nawet w kalendarzu jest specjalne święto...

— Będzie kiepsko — zaczyna Marian — jak się babcia zechce wydać za mąż. Samo weselisko ile kosztuje...

Babcia się wnerwiła i zrobiła po kielichu spirytusu z miodem, bo jest kilka uli. Na zagrychę było coś z dziczyzny, ale na pewno nie żubr...

Marian wyjął z szafy plik dyplomów i proporczyków. Na olimpiadzie wiedzy rolniczej wygrał poidea i dojarke; doszedł do półfinału, eliminacji centralnych i dostał wózek paszowy. Zrobił pięć semestrów w technikum rolniczym, a potem żona, dzieci, gospodarstwo i... przerwał. Teraz czeka budowa. Nie wie, czy kiedyś jeszcze będzie mógł kontynuować naukę. Ostatnio zajął pierwsze miejsce w finale wojewódzkim olimpiady wiedzy rolniczej. Będzie uczestniczył w centralnej. W nagrodę: bony towarowe i dziesięciodniową wycieczkę na Węgry.

Patrzy filuternie z boku na Annę i mówi:

— Przez tę naukę po nocach też miała pretensje. Obowiązki małżeńskie nie wykonane...

Poznałem go w ubiegłym roku w Głownie. Powiedział, że owszem, dziennikarze go lubią, ale on nie takiego specjalnego nie robi. Normalna. Chyba, że takich frajerów mało, co wryli się w gospodarke na amen i świata poza nią nie widzą. A on, nie da się ukryć, ziemie lubi...

Stwierdziłem, że nie zupełnie normalna, i dlatego ostatniego dnia stycznia, akurat kiedy po kilku dniach niemal wiosennych spadła na góra zima, pojechałem do Głowna i wstąpiłem do Gminy, aby dowiedzieć się, jak dojechać do Popowa. Jeden z rolników powiedział, że Marciniak jest w mieście, będzie więc pewnie i w Gminie. Sekretarz KG PZPR, Stanisław Wojciechowski, udał się na sesję, ale przedtem polecił urzędnicze, żeby „lapała” Marciniaka. Siedziałem w pustym gabinecie słuchając nawoływań z korytarza: „Mariana nie widziałeś? Jakiego? Marciniaka”. Wreszcie weszła zaafierowana, sympatyczna pani ze służby rolnej i rozkładając beznadziejnie ręce oświadczyła, że nie można go znaleźć. Dzwoniła po mieście, aż się telefony zablokowały, i nic. Ale ona mieszka w Popowie, to możemy pojechać.

Minęliśmy właściwy Popów, skręciliśmy w pola i ta pani oznajmia, że dokładnie to Marciniak mieszka w Pięknach Popowskich. Przebyliśmy „odcinek specjalny” rajdu Monte Carlo, czyli nie do przebycia kawałek polnej drogi i wjechaliśmy w obszarne, pełne śniegu i nie ogrodzone podwórze. Pośrodku sterczała niska drewna odkrytej studni. Odsunąłem kulę do wyciągania wiader i ruszyłem w stronę niskiego, z szarych pustaków budynku, przypominającego chlewnię. Otworzyłem czerwone drzwi i znalazłem się w niskiej izbie o poczemniącym suficie. Jedno małe okienko, drzwi zamknięte na haczyk, żeby nie wiało, na ścianach portret ślubny i obrazy święte; stary stół, nowoczesne łóżko, zsunięte razem, szafa, duży wózek dziecienny, pod stolikiem ukryte duże, nowe radio; telewizor, jak się później okazało, w remoncie i dlatego nie zobaczyłem najstarszego z pociec Marciniaka, ośmioletniego Darka, bo poleciał na telewizję do sąsiadów.

W tej izbie, gdzie za przepierzeniem mieścił się coś w rodzaju kuchni, mieszkają trzy dorosłe osoby i czworo dzieci.

Babcia, Stefania Marciniakowa, zdejmując okulary. Trzyma na rękach, półroczną, czarniawą wnuczkę Agnieszka, która była jeszcze w drodze, jak wybuchł pożar.

— On wrócił tym autobusem dwadzieścia po dwunastej — mówi. On powie. Chłop rzadzi całą gospodarke, a baby kurami i kaczkami. Chociaż — śmieje się — jak się kaczki położy na stole, to chłop też zarządzi.

— Ale jaki on jest, ten pan syn? — A dlaczego ja? Niech Anna powie. Żona wie lepiej...

— No, mama go chyba dłużej zna, nie?

Za przepierzenia wychodzi Anna. Wygląda bardzo dziewczęco, a przecież urodziła czworo dzieci, prócz Agnieszki i Darka jest jeszcze szesnastoletni Witek i pięcioletnia Basia. Jest szczupła, wiotka, ma ładną, sympatyczną twarz i ogromne niebieskie, śmiejące się oczy. Mówi donośnie, że swadą, jest rezolutna, ale nie tupeciara. Mówi, że Marian dobrze zaplanował: dwie parki wyszły.

— Do planowania to on ma głowę! Bez tego nie ruszyłby w gospodarstwo.

— Nie powiem — przerywa jej babcia — ziemie lubił. Drugi syn już nie miał tak serca. Tak zresztą jak Darek. Bo Witek, ten młodszy, to gada, że nie pójdzie do szkoły, tylko byczki będzie oprzątał. Ale jak ojciec nie kupi nowego traktora, to też ucieknie do miasta. Jak moje dzieci... U Ani też prawie wszyscy w mieście... A Marian został nie tylko dlatego, że zabrakło następcy. On robił trochę w geesie, ale kiedy ojciec nie mógł pracować, żal mu się zrobiło i ojca, i ziemi.

Babcia jest zadbana, ma czerstwą, zdrową cerę, włosy wyondulowane.

ZASTARZAŁA „DZIECIĘCĄ” CHOROBA

Dla ludzi, którzy zapoznawali się z historią ruchu robotniczego i marksizmu w latach bezpośrednio powojennych, słowa anarchizm czy trockizm miały już tylko znaczenie historyczne. Wiedzieliśmy oczywiście, co to takiego, jaką rolę odegrało w historii, ale sądziliśmy, że należy już w zupełności do dnia wczorajszego lub czasów jeszcze dawniejszych i nie ma najmniejszego związku z dniem dzisiejszym. I rzeczywiście: ani anarchizm ani trockizm — obie te „stare” formy lewactwa — w pierwszych latach po wojnie nie znajdowały jakoś gruntu pod nogami. Nie napotykały na jakiegokolwiek poważniejsze poparcie społeczne tkanie, które mogłoby dać podstawę dla rozwinięcia działalności. Żywiły lewactwo nie przestały — rzecz zrozumiała — istnieć, nie straciły też ambicji działania. Utraciły jednak rzeczywiste znaczenie — niektórym zdawało się nawet — że bezpowrotnie. Sytuacja zaczęła ulegać zmianie dopiero gdzieś od drugiej połowy lat pięćdziesiątych. W latach sześćdziesiątych zarówno odrodzenie się starych nurtów lewackich, jak uformowanie nowych, w większymi krajach burżuazyjnych stały się politycznym faktem. Ostatnie lata przyniosły bardzo wiele świadectw politycznej aktywizacji środowisk lewackich we współczesnym świecie.

Lewactwo nie jest dzisiaj siłą jednolitą ani pod względem ideologicznym czy doktrynalnym, ani tym bardziej organizacyjno-politycznym. Jest rozbite na mnóstwo większych i drobniejszych organizacji, nierazdo zaciekle konkurujących ze sobą, nieraz o osobliwych nazwach i nieokreślonych formach działania. Owo zróżnicowanie z pewnością nie ułatwia prób scharakteryzowania całokształtu zjawiska i wiarunkuje, że wśród zainteresowanych specjalistów nie brakuje różnic zdań co do ważnych niejednokrotnie problemów.

Na ogół mówiąc o współczesnym lewactwie wyróżnia się w nim jako podstawowe nurty neanarchizm, neotroczizm i maolizm, łącząc z nimi po części tak zwaną „nową lewicę”. Zestawienie jednak na jednej płaszczyźnie z „odmłodzonymi” „starymi” nurtami lewackimi maolizmu napotyka nieraz na sprzeciw tych obserwatorów, którzy akcentują programowo antyinternacjonalistyczne, wielkomocarstwowe i szowinistyczne cele ruchu — chińskiego. Również brak zgody co do oceny „nowej lewicy”. Wszystko to, są to bowiem nieproste sprawy, z którymi boryka się współczesna politologia, w tym również i polska.

Prawda to, że co się tyczy rozpoznania skomplikowanego zespółu zjawisk, któremu na imię współczesne lewactwo, nie dysponowaliśmy do niedawna poważniejszym dorobkiem badawczym, a większość publikacji, dotyczących tej tematyki, miała bardziej charakter dziennikarski niż naukowy. Tym większe znaczenie mają więc inicjatywne chęci aby się powiedzieć — choć może to słowo zbyt wielkie — pionierskie. Jedną z nich było zorganizowanie jeszcze w lutym 1973 r. sympozjum na temat współczesnego lewactwa przez Wojskową Akademię Polityczną im. F. Dzierżyńskiego oraz Instytut Ruchu Robotniczego Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR. Zaowocowało ono dziś w postaci niezwykle interesującego — również dla czytelników, nie będących politologami — wydawnictwa opracowanego pod redakcją J. Janickiego i J. Muszyńskiego, a zatytułowanego „Ideologia i polityka współczesnego lewactwa” i opublikowanego przez Redakcję Nauk Politycznych Państwowego Wydawnictwa Naukowego (1976).

Celem tej publikacji jest „zapoznanie Czytelnika z ideologiczną i doktrynalną istotą współczesnego lewactwa, jego politycznymi celami oraz organizacyjnym kształtem”. Autorem umieszczonych tu rozpraw i szkiców, choć do ukazania „Jaka rolę polityczną odgrywa lewactwo we współczesnym świecie, jaki jest jego stosunek do światowego procesu rewolucyjnego oraz w jakim sensie i stopniu jest ono silą antyimperialistyczną, a w jakim — nurtem antykomunistycznym”. Praca nie rości sobie pretensji do wyczerpania całokształtu zagadnień, wchodzących w zakresony tytułem krag problemowy. Zespół autorów — czytamy we wstępie książki — „starał się ukazać to, co z punktu widzenia bieżących potrzeb walki ideologicznej jest szczególnie ważne w poznawaniu antykomunistycznych oraz niekomunistycznych kierunków ideologicznych i nurtów doktrynalnych, pragnął zaprezentować — na podstawie przeprowadzonych badań — czym w rzeczywistości jest współczesne lewactwo i jaką rolę odgrywa ono w życiu politycznym współczesnego świata”. Nie sposób wyliczyć tu wszystkich prac, składających się na ten interesujący i ważny tom. Wymienimy więc jedynie autorów w kolejności, w jakiej w nim występują. Są nimi: Piotr Sommerfeld, Jerzy Muszyński, Janusz Janicki, Kazimierz Ochocki, Antoni Malinowski, Elżbieta Weremowicz, Andrzej Halimarski, Józef Borgesz, Kazimierz Eastowski, Jerzy Łukowski.

LEKTOR

TADEUSZ GICGIER

DO RODZINNEGO
MIASTA

Twój bruk pokrzywił moje stopy,
kiedy biegalem po nim chłopcem,
więc chodzę dzisiaj jak kaleka,
obsztyt dymów twych pokrowcem.

Wyziewy ulic, fabryk czady
grubą ścisnęły skroń obręczą:
jak w drewno biją w nią twe głosy,
jak w mgłę mi dźwięki twoje dźwięczą.

Z kamienic czarnych, odrapanych
na moje piersi wpelznął liszaj,
że choćbym chciał się wyprzeć ciebie,
już mi się to nie uda dzisiaj.

Miasto, gdzie w hal fabrycznych stukot
zmiana po zmianie wchodzi człowiek,
i choć powieki nocy puchną,
on nigdy słych nie spuści powiek.

Ten sam nas karmi chleb co rano
spekany, ciepki tak jak ocet —
i w naszych płucach dzienną zmianą
ten sam zachodzi zgubny proces.

Lecz trwamy tu i trwać będziemy
(mus to wewnętrzny czy przekora),
wrosnięci w miasto tak jak drzewa,
zrosnięci z miastem jak z pniem kora.

1964

MOJE PRZEDMIĘSCIE

Urodzajny to ugór,
obrodził w bloki-skrzynie,
to z nich się wysypały
te ukwiały
śmieci,

torebki papierowe
wdzięcznie nakrapiane,
skórki od pomarańczy,
splesniałe cytryny,
a także potrzaskana
butelka po piwie,
lowiąca w drzazgi ramion
fioletowe błyski.

Tu
w powietrza topieli,
w gęstej zawieszinie,
na jej dnie spoczywa
po konserwie puszką,
szczyrzy zęby blaszane,
trwa tak nieruchomo —
przyczajona wśród ostów
atlantycka ryba.

Gazety zeszmaczone
pozorują zagle,
zazdrości im liść babki,
łódzkiego łopianu,
nie chce być od nich gorszy,
napina lodyge,
strzępiąc na niskim wietrze
jak język swą blaszkę.

Więc nie się nie zmieniło...

1970

MIROSLAW KUŹNIAK

ZAPIS

I.

Kiedy uderzyliśmy już we wszystkie skały
i wytrysnęła z nich woda Zobaczyliśmy
jak jeden spośród nas uderza
dlugo i bezskutecznie
w wyniosły garb sterczącej z piasku
skały

Kiedy przeszliśmy już suchą stopą
Morze Czerwone Zobaczyliśmy
jak jeden spośród nas tonie
Trzy stopy od brzegu Trzy
Bose stopy od nas usiłujących
wiązać ratunkową nić głosu

Najstarszy spośród nas powoli
wyżymając brodę powiedział
O my którzy przeszliśmy Morze Czerwone
i otworzyliśmy skały Którzy poznaliśmy
każdy kamyk pustyni każdą kroplę wody
Cieszmy się Uczujmy Albowiem
tylko bogowie i poeci są śmiertelni

II.

Ten zapis odnalazem
Na pustej wydeptanej plaży
Pośród nędznych resztek jedzenia

PROZA TEODORA GOŹDZIKIEWICZA

Dzień sierpniowy już się
kończył. Nad polami cienka,
zwiewna mgła. Niebo, takie w
swej barwie jednolite, dziś
odziało się niesymetrycznie: ca-
ły wschód, w którym ginie So-
kolów, Kallinki i lasy pod Bu-
dziczną, to mroczny granat, ca-
ły zaś zachód — to pasy pomara-
ńczu, różu i turkusów, który
nad głową — w zenicie —
przechodzi w nieokreśloną bar-
wę, ni to szara, ni to niebieska.

Skończywszy z bratem usta-
wianie kopek życia, tak zwa-
nych po sieradźku „kraczek”,
siedliśmy utrudzeni na obalo-
nym snopku pod jedną z nich
i rozpoczęło się szukanie. Mam
być świadkiem pewnego zdra-
żenia, które mi zasygnalizow-
wał brat, zaraz po moim tu
przyjeździe.

Często korzystam z tego źró-
dła, albowiem łączy nas wiele
wspólnych upodobań, szczegól-
nie jeśli chodzi o świat stwo-
rzeń słabszych od człowieka, z
ptakami na czele.

Zniewa są nietypowe, spóźnio-
ne, deszcze i niewiarygodnie
zimno stanęły na przeszkodzie,
jeśli cała robota z połwy lip-
ca przesunęła się na połowę
sierpnia. Teraz wszystkie zbo-
ża domagają się kosy.

— Jeśli mi pomożesz przy
żniwach — tym zaraz mnie
przywitaj — to ci coś ciekawo-
go pokaże, jeśli nie pomożesz,
rzecz przepadnie dla świata.

— No? — mówię w pewnej
chwili siadłszy pod kraczką.

— Zaraz się zacznie, pocze-
kaj — mityguje mnie brat, ze
względów zrozumiałych spokoi-
niejszy ode mnie, nie nowina
mu to.

Ości z żytnich kłosów kłują
mnie po karku, dostawszy się
nielegalną drogą między kol-
nierza a moją biedną, spoczną
skórę nieudolnego żniwiarza.
Coraz to sięgnę tam dłoń,
Pachnie świeżo, mokro i jeszcze
słoma żytnia, wcale nie jest to
zapach razowego chleba, raczej
zalatuje coś zgnilizną, czy też
czymś takim, co mi trudno
nazwać, choć znam ową woń
od kolebki — chce mi się tak
powiedzieć z nieco sentymental-
ną nutką.

— Patrz! — mówi w tej sa-
mej chwili brat.

Zdaje mi się, że w wyciąg-
niętej ku górze dłoni brata jest
coś z gestu dumy. Był to owoc
naszych spojrzeń na niebo —
raz tu, raz tam. On pierwszy
to coś dojrzał. Spojrzałem w
podany przez niego kierunek:
od strony boru, od południa
ku północy leciało stado kaczek,
tak na oko blisko sto sztuk.
Tworzyły szary, ruchliwy pas,
przesuwający się ku połom pe-
geeru. I gdzieś tam zapadły.

Po tym pierwszym stadzie
przesunęło się drugie pasmo,

jeszcze liczniejsze, jeszcze w
swoim kolorycie ciemniejsze.
Osiało na tym samym miej-
scu. Po drugim — trzecim. Po
trzecim — czwartym. Za nimi
następne...

— W rezultacie przestaliśmy
liczyć. Szkoła było siły i uwa-
gi.

Zdarzyło się w swoim cza-
sie, że kierownictwo państwo-
wego gospodarstwa rolnego u-
legając wskazówkom działu po-
rad rolnych w radio, a może
stosując się do zaleceń okólni-
ków wewnętrznych, obsiało
wielki obszar pola samym jęcz-

— Dawno się tak dzieje? —
zapytałem brata.

— Przeszło tydzień, dzień po
dniu — usłyszałem.
Przez kilka dni mojego żni-
wowania zawsze wieczorem ob-
serwowaliśmy to dziwne zdra-
żenie, a raz nawet korzystają-
c z wyjątkowo ciepłej pogody
kawęczeliśmy całą noc. Stało
się to nie tylko kosztem snu,
ale i kolacji, czego nie można
powiedzieć o kaczkach.

Naloty odbywały się wieczór
w wieczór, z zegarkowa wprost
dokładnością, tak że swoisty
exodus zaczął nas w końcu ba-

rywka. Co więcej — do na-
szych uszu wyraźnie doleciał
chrzęst tysięcy szczudających
dziobów ptactwa, robiło to
wrażenie, jakby maszerowały
ku nam tysiące (a może setki
tysięcy) majowych chrabą-
szczy.

Staliśmy zasluchani, bez ru-
chu, zatascynowani bądź co
bądź niecodziennym zjawis-
kiem. Tysiące, tysiące kaczek
żerowało na pegeerowskim
jęczmieniu, wpływając na ob-
niżenie średniej wydajnej zbóż
z obsianych arealów ziemi. Z
drugiej jednak strony przycho-
dziło nam na myśl, że i ta
stworzenia też musza jeść, też
napelniać sobie czymś głodne
żołądki. Dlaczego jednak obra-
ły sobie akurat te stony, jak
się pomiędzy sobą „spiknęły”,
że tutaj tak dużo zarca, jakim
rozmawiały językiem?

Brat w pewnej chwili przy-
łożył mi wargi do ucha i za-
szeptał konspiracyjnie:

— Idziemy?... Już czas!
Zwróciłem się w jego stro-
nę, wyszukałem konchę jego
ucha i odszycałem tym samym
sposobem:

— Możemy jeszcze pocze-
kać... Jeszcze się wysypimy!

Odczułem wyraźne skłnienie
głową rozmówcy, znak potwier-
dzenia. Staliśmy dalej Naokoło
nas panowała cisza i ciemność.
Tylko ten wzmoczony szmer że-
rowania, który w jakiś sposób
nie odbierał owej wiejskiej ci-
szy głównego jej waloru —
spokoju. Nasze zamiary i decy-
zje nie zdążyły się wkrótce na-
nie. Oto zapóźnione stadko ka-
czek, złożone z kilkunastu
sztuk, nadleciało od strony pól
i zawróciło, by usiąść na ziemi
gdzieś blisko nas. Ten ich za-
miar jest dowodem, jak musie-
liśmy się zlewać z tym, że na-
wet oczy ptaków przywykłych
do lotów i żerowania w nocy,
nie dostrzegają nas. Ale zmie-
rzywszy ku nam, dostrzegły
dwa cienie. Ze jednak stało się
to nagle i niespodziewanie, wy-
wołało u przyszłego ostrego
gwałtowny krzyk, w czym tak
górąją kaczki-samice.

Odcień trwogi, wyraźny i
alarmujący, w ich głosie spra-
wił, że cała ta żerująca masa
ptactwa zerwała się do panice-
nej ucieczki w jednej chwili,
a trzepot ich skrzydeł bijących
jedno o drugie, i szum lotu
przypominały jazdę pociągu po
szynach.

Po upływie dłuższej chwili
kotłowania ich odlotu ustala,
chmara roztopiła się w ciem-
ności i oddaleniu, a myśmy zo-
stali sami przygnieci świadom-
ością, że dane nam było stać
się uczestnikami niecodziennego
zdarzenia. Ja zaś dowiedzia-
łem się później, że nigdy nie
sortowano tego jęczmienia, bo
nie było co. Całe pole zaorano.

KACZKI NA
JĘCZMIENIU

mieniem. Miało to zboże pod
względem wydajności z ha
przewyższać nasze zwykłe żyto,
a tym samym podlegać ekono-
mice pegeeru na wyższy pozio-
m. Pielęgnowane należycie
i nawożone nieskapo rośliny
poszły niby zielony kożuch:
gęste, bujne, dorodne.

Niestety... Stało się w dniach
początkowego dojrzewania ziar-
na, że przeszły w tych okoli-
cach takie właśnie w wielkie sie-
radzkie nawalnice: z wichrem,
deszczem, grzmotami i błyska-
wicami. Każda z nich stłama-
siła, zwałowała wszystkie pola
i plony na nich, a szczególnie
dała się we znaki łanom jęcz-
mienia — leżał zbity, splaszczony,
jakby przymuskany.

Skądś, w jakimś sposób — w
jaki, tego nikt nie odgadnie —
zwiadziały się o tym fakcie
dzikie kaczki. I zaczęły się
dziać zdarzenia fenomenalne.
Dzień po dniu, a zawsze o
zmroku, wieczorem, odbywał
się nalot ptactwa na żerowisko.
Musiało owo towarzystwo ścia-
gać z jak najdalszych okolic,
gdź tenże kaczki sejm liczył
tysiące sztuk. Widziane to przez
lornetkę wydawało się mrowiem.

Po naradzie postanowili-
my spróbować, jak blisko da-
dzą się podejść te chmary że-
rującego ptactwa. Przecież ich
rendez-vous wygląda w ten
sposób, że towarzystwo zbiera
się ratami, ale nie mamy po-
jęcia, jak właściwie opuszcza
te stony, razem czy oddziel-
nie?

Wstaliśmy z miedzy i ruszy-
liśmy w tamtym kierunku. Noc
była ciemna i niewiele widzie-
liśmy. Trudno nam było usta-
lić, czy też kaczki już nie nad-
latują, czy też my ich nie wi-
dzimy. Zrazu posuwaliśmy się
pełną drożką, a potem na prze-
łaj przez chłopskie pola Musie-
liśmy zachować daleko idącą
ostrożność, na przykład obejść
pola buraczane, bo liście tych
roślin są zdradliwe — niesly-
chanie w potrąceniu nogą głoś-
ne.

Doszliśmy — tuż miedza a
za nią brzeg jęczmienia. Zaraz
przed nami było pusto, kaczek
ani widu ani słychu. Posuną-
wszy się jednak dalej mimo
ciemności, na jaśniejszym tle
powalonego zboża dojrzelśmy
czerniejącą plamę ziemi; wy-
glądało, jakby to była pod-

Z tymi małymi sokolikami,
czyli jak myśmy je nazywali w
nalowności ducha swego — ja-
strząbkami, pamięć moja zro-
sia się od maleńkiego dziecka.
Nad polami dworskimi i chłopi-
skimi było ich prawdziwe za-
trzęsienie. Ich ciekawy sposób
dokonywania łowów rzucał się
w oczy. Lecąc od strony lasu
nad łąki i uprawy, albo po
żniwach nad ścierniskiem, za-
wisły w powietrzu i trzepo-
cząc skrzydełkami upatrywały
zdobycz. Wyglądały wtedy ni-
by przyszpilone do niebieskie-
go firmamentu. Takie „stanie w
powietrzu” kończyło się albo
uderzeniem na ziemią zdobyczą,
albo też lotem dalszym i zno-
wu swoistym stopem.

Takich unieruchomionych w
powietrzu widziało się ich w
zasiegu oka pięć, siedem. Lo-
wiły oczywiście drobne czwo-
ronogi polne: myszy, sorki, albo
większe owady: zielone ko-
niki czy turkucie podjadki.

Ich ostoją, gdzie się legły,
odpoczywały i acoowały, była
stykająca się z polem enklawa
kilkudziesięcioletnich, gonych
sosen, z rzadka przerośniętych
osikami, brzozaami lub świer-
kami. Ta część boru różniła się
od reszty obszaru leśnego, któ-
ry należał do samosiewów.

W gwarze sieradzkiej nazy-

wał się ten kawałek boru Lu-
żkiem, od wyrazu „lug”, ozna-
czającego nieduży, ale stały i

rze, a dzika mięta, trochę tu-
rzy i innych chwastów — na
polu. To obniżenie ziemi nie

PUSTUŁKA
NAD POLEM

nie płynący zbiornik wodny. Za
moich czasów była to już tyl-
ko wklęsłość powierzchniowa,
śląd zaledwie, obejmujący część
lasu i część pola. Rosły na niej
krzaki dzikich róż, szaklaku i
kruszyny czyli psiny — w bo-

dawało plonów, zawsze zboża
tu wygniły.

Wiesi posiadała prawa serwi-
tutu w stosunku do dworu: pa-
sionki w lesie codziennie w
sezonie, wywóz ściółki raz do
roku, zbieranie suszu raz w

tygodniu — prawo nadane im
przez ukaz carski Aleksandra
II w roku 1864. W latach
1921—1922 doszło do ugody
między dworem i wsią W za-
mian za zrzeczenie się praw
serwitutowych chłopci otrzyma-
li na własność po części lasu
i ornej ziemi.

To obdarowanie chłopów zie-
mią odbyło się kosztem lasu.
Na rzeź poszły piękne samosie-
wy: Duktka, Nadźródle, Stawy,
Niwa, Lisie Jamy, a przede
wszystkim... Łuzok. Rąbano
drzewa, kopano pnie rugowa-
no krzewy i korzenie. Po upły-
wie roku na miejscu gąszczu
leśnego pleniły się już żyta,
prosa, ziemniaki.

Pustułki, pozabawione swojej
ostoi, znikły bezpowrotnie.

Niebo nad tymi polami stało
się teraz martwe. Ja osobiście
nie oglądałem tych „śwarnych”
sokolików przez dziesiątki lat.
Któż więc opisz moją wzru-
szenie, gdy jadąc ze Śląska w
maju 1973 roku i gapiąc się po
swojemu przez okna na mijającą
okolicę, zobaczyłem gdzieś pod
Będzinem czy Zabkowicami
zawieszony w powietrzu, trze-
poczący nad łąką czy pastwi-
skiem ciemny, tak dobrze zna-
ny w dawnych czasach punkt.

Pustułka wyleciała na łowy.
I to gdzie?... Na obszar zakop-
conych, szarych terenów.

KONIEC EPOKI BETONU?

Dalszy ciąg ze str. 1

ona otworzyła nowe możliwości przed konstruktorami, dając im naukowe podstawy do opracowania wielu nie znanych dotąd tworzyw. Są nimi tzw. kompozyty — materiały zawierające co najmniej dwa składniki dobrane w odpowiednich proporcjach i we właściwym układzie przestrzennym. Praktycznie rzecz biorąc, kompozyt może mieć z góry zadane właściwości. Znana jest bowiem ogólna metoda tworzenia nowych materiałów. Zadaniem badań szczegółowych jest jedynie określenie rodzaju, proporcji i rozmieszczenia poszczególnych składników kompozytu tak, by końcowy produkt posiadał żądane cechy użytkowe.

Motorem badań dotyczących kompozytów były potrzeby podboju Kosmosu. Specyfika eksploatacji sprzętu technicznego w warunkach pozaziemskich zmusiła uczonych do opracowania nie znanych wcześniej tworzyw. Dziś kompozyty wykorzystuje się w elektronice, energetyce, metalurgii i innych ważnych dziedzinach techniki. Do budownictwa najbardziej nadają się kompozyty betonowe. Są to materiały złożone z betonowej lub cementowej osnowy oraz mikrobrojenia, wykonanego najczęściej z metalu, szkła lub tworzywa sztucznego.

Dużą wytrzymałość, sprężystość i wydłużalność, odporność na wpływy dynamiczne, a także korzystne cechy użytkowe, takie jak mała ściepalność i bardzo dobra szczelność — to niepodważalne zalety kompozytów betonowych. Jednak główną przyczyną stałe rosnącego zainteresowania nauki i techniki budowlanej kompozytami jest ekonomiczna opłacalność ich stosowania.

Obecnie w budownictwie dominuje beton. W Polsce stanowi on 83 proc. ciężaru wszystkich materiałów budowlanych. Podobnie w innych krajach przemysłowych. W RFN udział betonu wynosi 81 proc., w USA — 77 proc., we Francji — 86 proc. Czy dominacja betonu jest obiektywnie uzasadniona? Aby odpowiedzieć na to pytanie, sięgniemy do przyczyn upowszechnienia konstrukcji betonowych w budownictwie. Przede wszystkim beton jest najtańszym ze znanych dotychczas materiałów konstrukcyjnych. Koszt wytworzenia jednej tony wynosi około 150 złotych. Surowce potrzebne w produkcji (margiel, wapno, glina, kamień, węgla) są stosunkowo łatwo dostępne, również w Polsce. Łatwość wytworzenia betonu umożliwia szybką produkcję. Wydawałoby się więc, że beton — to bogosławieństwo ludzkości.

CZY TYLKO BETON?

Konstrukcje betonowe są ciężkie i masywne. Przy obecnym burzliwym rozwoju budownictwa duży ciężar elementów budowlanych stanowi przeważnie utrudnienie dla transportu, który mimo ciągłej modernizacji, nie zawsze może podoląć zwielokrotnionym ładunkom. Konieczność przywiezienia wielkich mas surowców do sortowni kruszyw i cementowni, następnie do zakładów prefabrykacji i wreszcie dostarczenie gotowych elementów konstrukcyjnych na plac budowy, stwarza coraz więcej napięć i trudności przewozowych. Dodajmy do tego kłopoty z montażem masywnych płyt betonowych, dewastację środowiska przez lawinowo narastającą eksploatację kruszyw, które

występują przecież w ograniczonych ilościach. Łatwość wytworzenia betonu też jest zaletą co najmniej dyskusyjną. Produkcja jest łatwa i prosta m. in. dlatego, że nie zachodzi konieczność ścisłego przestrzegania reżimów technologicznych, zawsze otrzyma się jakiś beton. A jaka będzie jego wartość konstrukcyjna i użytkowa? W pogoni za ilością, w walce o dotrzymanie terminów, często brakuje czasu na takie pytania.

Całkowite wyeliminowanie z budownictwa betonu nie jest ani możliwe, ani celowe. Chodzi jednak o to, aby zmniejszyć lub choćby ograniczyć jego zużycie. Szansę osiągnięcia tego celu dają kompozyty betonowe. Tworzywa te, dzięki wysokim walorom wytrzymałościowym i użytkowym umożliwiają wydatne zmniejszenie zarówno ciężaru konstrukcji, jak też ilości użytego betonu. Na przykład kilkudziesięciocentymetrowe ściany osłonowe budynku można zastąpić kilkucentymetrowymi, składającymi się z dwóch warstw zewnętrznych z kompozytu (poniżej 2 cm grubości) i jednej wewnętrznej izolacyjnej, np. ze styropianu lub pianki poliuretanowej. Jak wykazały badania, to cienkie i lekkie ścianki lepiej izolują wnętrze budynku od wpływów akustycznych i atmosferycznych niż ciężkie ściany betonowe. Elementy cienkościennie umożliwiają też bardziej swobodne projektowanie form architektonicznych.

Podany przykład ukazuje tylko jedną z wielu możliwości wykorzystania kompozytów betonowych. Można je stosować zarówno w budownictwie przemysłowym jak i mieszkaniowym, zarówno w powłokowych konstrukcjach osłonowych, jak też do budowy ścianek działowych czy przekryć dachowych. Z kompozytów buduje się kadłuby małych statków, pasy startowe lotnisk, zbiorniki i rury, drogi i przystanki autobusowe. Nawet tzw. szalunki, czyli formy drewniane, w których zastygają i twardnieją ciężki beton, przyjmując postać słupów, filarów i innych elementów konstrukcyjnych, można wykonywać nie z drewna, a z kompozytu, który staje się wówczas dodatkowym elementem nośnym konstrukcji.

OD KILKUNASTU LAT

W Polsce prace naukowe dotyczące kompozytów betonowych podjęto już kilkanaście lat temu, gdy dziedziną tą dopiero raczkowała w światowej nauce. Ośrodkiem tych badań był Wydział Budownictwa Lądowego Politechniki Łódzkiej. Dziś łódzcy naukowcy pracujący w Instytucie Inżynierii Budowlanej PŁ pod kierunkiem doc. dr hab. **BERNARDA RYSZARDA WALKUSA**, mają już poważny dorobek naukowy w tej dziedzinie. Ich osiągnięcia są znane i esznie na całym świecie. Na zorganizowane w Politechnice Łódzkiej we wrześniu 1976 r. międzynarodowe sympozjum naukowe, poświęcone cienkościennym elementom i konstrukcjom budowlanym, przybyło ok. 150 specjalistów, w tym 50 gości zagranicznych. Byli wśród nich wybitni uczeni, m. in. z ZSRR, USA, Kanady, Włoch, NRD i Czechosłowacji. Zarówno ich obecność jak i sformu-

wane opinie dowodziły wysokiej międzynarodowej rangi Polski, a w szczególności ośrodka łódzkiego, w zakresie badań kompozytów betonowych i cienkościennych konstrukcji budowlanych.

Już na początku lat sześćdziesiątych w Łodzi, Konstancynie i Ożorkowie zbudowano przystanki autobusowe i tramwajowe z cienkościennymi elementami opracowanymi w Politechnice Łódzkiej. Tworzywem był tu siatkobeton, czyli beton zbrojony siatką metalową o grubości nie przekraczającej 1 mm. Z czasem powstawały kolejne opracowania. Ukoronowaniem prac zespołu naukowego w składzie: doc. dr hab. inż. **B. R. Walkus**, dr inż. **A. Czkwianianc**, dr inż. **M. Kamińska**, dr inż. **D. Ulańska**, mgr inż. **E. Sztajkowski**, było opracowanie projektu i wykonanie prototypów całkowicie zmechanizowanego urządzenia do przemysłowej produkcji elementów cienkościennych o dowolnych przekrojach. Urządzenie zostało opatentowane, ale dotychczas nie doczekało się praktycznego zastosowania. Niechęć przemysłu do innowacji jeszcze raz okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek.

PERSPEKTYWY

Dopiero rządowy program badawczo-rozwojowy, oznaczony kryptonimem PR-5, a poświęcony kompleksowemu rozwojowi budownictwa mieszkaniowego, stworzył realne możliwości wdrożenia. Wydział Budownictwa i Architektury PŁ aktywnie włączył się do realizacji tego programu. Aktualnie, na zlecenie Centralnego Związku Spółdzielczości Mieszkaniowej i Łódzkiego „Investprojektu” prowadzi się tu badania nad zastosowaniem elementów cienkościennych przy budowie domków jednorodzinnych. W ramach problematyki węzłowej naukowcy z PŁ, wspólnie z przemysłowym Instytutem Techniki Budowlanej pracują nad zastosowaniem kompozytów do przekryć dachowych i stropodachowych.

W przyszłym roku powinna ruszyć produkcja elementów cienkościennych dla potrzeb budownictwa przemysłowego. Zastosowaniem technologii opracowanej w PŁ zajmuje się zleciodawca badań — Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Przemysłu Betonowego „Cebet” oraz Przedsiębiorstwo Wdrażania i Upowszechniania Postępu Technicznego „Posteor” w Gdańsku. Również projekt największego w Polsce szpitala, jaki powstanie w Łodzi, przewiduje wykorzystanie elementów cienkościennych.

Aby w latach 1971—1990 wybudować, zgodnie z planem, 23 miliony izb mieszkalnych, co oznacza blisko 4-krotny wzrost w stosunku do poprzedniego dwudziestolecia, trzeba szukać sposobów oszczędności materiałowych i zmniejszenia pracochłonności w budownictwie. Dobrze, że podobnie jak w ZSRR i wielu innych krajach, również i u nas zaczęto poważnie myśleć o wykorzystaniu elementów cienkościennych — szansy stworzonej przez naukę.

PAWEŁ PATORA



Foto: W. Parys



Foto: Archiwum

INDYK NA ZIMNO

Obchodzący w roku ubiegłym jubileusz 25-lecia działalności artystycznej Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej po raz pierwszy sięgnął po jednego z czołowych polskich dramaturgów współczesnych — mianowicie zrealizował „Indyka” Sławomira Mrożka. I słusznie. Może trochę za późno, lecz decyzja ta podjęta przez kierownictwo artystyczne teatru w roku 1976 świadczy o skutkach wieloletniej edukacji teatralnej społeczności zamieszkujących małe miasteczka i osiedla, do których przez okrągłe ćwierć wieku, w różnych — najczęściej nie najlepszych — warunkach, „scena na kółkach” docierała. I chociaż tekst „Indyka” ukazał się po raz pierwszy w „Dzienniku” z 1960 roku, niewątpliwie dla wielu widzów z Klonowca, Nowego Miasta i innych ośrodków oddalonych od wielkich centrów kulturalnych będzie on niespodzianką. Obserwując rozwój artystyczny Teatru Ziemi Łódzkiej w ostatnich kilku latach należy się spodziewać, że niespodzianka to nie pierwsza i na swą „terenową” premierę czekają niecierpliwie tacy wybitni przedstawiciele naszego współczesnego piśarstwa dramatycznego, jak Tadeusz Różewicz czy Stanisław Grochowiak, a można by wymienić jeszcze kilku.

Dziś jednak teatr przy ulicy Kopernika 8 to nie tylko „wóz Tespisa”, lecz również wrastająca coraz silniej w organizm wielkiego miasta, placówka kulturotwórcza, zaznaczająca z dnia na dzień wyraźniej swoją obecność chociażby przez ciekawe odkrycia repertuarowe, będące domeną jej kierownika artystycznego — **Jana Perza**. Kiedy jednak przed rokiem podałem taksonomikarowski adres: Teatr Ziemi Łódzkiej na Kopernika — ten podwiózł mnie pod sam... Teatr „Pinokio”, również zresztą na ulicy Kopernika. Może to o czymś świadczy, może nie, ale mój przypadek, jak się okazało, nie był pierwszym. Potrzeba chyba działań konkretnych, zmierzających do zwrócenia uwagi na jeszcze jedną, ważną placówkę teatralną w 800-tysięcznym mieście, a z przyległościami — milionowym. Jednym z takich działań powinno być ustalenie stałego dnia lub dwu dni w tygodniu, gdy teatr graby w swojej siedzibie, która po jubileuszowych zabiegach adaptacyjnych i kosmetycznych wzbogaciła się o obszerne foyer z bufetem, a salka niewielka, lecz przystępna, stwarza idealne warunki dla odbioru sztuki. I w tej właśnie, liczącej około dwustu miejsc sali, na styczniowym przedstawieniu „Indyka” doliczyłem się trzydziestu widzów.

Co do samego „Indyka”, to jedno wydaje mi się pewne, że w czasie swego szesnastoletniego „trwania” nie stracił ten dramat na aktualności, ale żeby ta aktualność odbiła się w spektaklu, „Indyk” nie może być podany na zimno. Wymaga on pikantnego „farszu” i wysokiej temperatury. Ale odniosłem wrażenie, że reżyserowi — **Janowi Kwapiszowi** — zabrakło tego, co nazwałbym potrzebą osobistego wypowiedzenia się przez tekst Mrożka. A jeśli nawet taka potrzeba zaistniała, to stłumiona została wynikającą może z nieśmiałości niekonsekwencją.

„Indyk” nie może być dzisiaj zabawną opowieścią o zaklętej karczmie. Jest to sztuka groźna i niesie w sobie coś z tragicznej sytuacji, jaką Bunuel stworzył w swoim „Aniele zagłady”. „Indyk”, to nie tylko żrące i niebezpieczne, to również ostrzeżenie przed pewnym groźnym, a niezaprzeczalnie dającym o sobie znać stanie umysłów, niebezpiecznym tym bardziej wówczas, gdy niezbędna jest wielka mobilizacja ducha w narodzie. „Indyk” to również nie tylko ilustracja przysłowia: „Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”, należałoby dodać — trzeci najmniej aktywny. Za przyczyną tej niekonsekwencji Tomasz Karasiński robi co może w trakcie całego przedstawienia, aby zwrócić na siebie uwagę, ale nie wiem czemu to zwracanie uwagi ma służyć. Wspaniale napisane przez Sławomira Mrożka postaci trzech chłopów, w spektaklu zniknęły zupełnie, tworząc dosyć nijakie i nie komponujące się z całością to, a przecież oni są równie ważni jak Kapitan czy Poeta.

Szczególne słowa uznania należą się w tym przedstawieniu trójce aktorów: **Alinie Kulikównie** grającej Laurę, **Zbigniewowi Bielskiemu** grającemu Rudolfa i **Włodzimierzowi Tympalskiemu** w roli Poety. Oni moim zdaniem stworzyli tę najlepszą i najrówniejszą warstwę spektaklu, będącego swego rodzaju przekładaniem. Starali się rozegrać swoją „partię” z umiarem, nie tracąc nic z ekspresji i wyrazistości intencji. **Euzebiusz Olszewski**, którego pamiętamy ze wspaniałej, krwistej roli Rotmistrza w „Damach i huzarach”, w „Indyku” kontynuował jakby swój fredrowski „temat”, co znosiło go tutaj trochę na teren nie zawsze umotywowanej dezynwolucji. **Pustelnik Henryka Dudzińskiego** był raczej dziadkiem z bałki (w tej roli zresztą bardzo udanym dziadkiem), a nie współczesnym jednak ideologiem, a tak chyba widział tę postać Sławomir Mrożek. Z zupełnie też innego wymiaru wchodził w to przedstawienie **Książę (Remigiusz Rogacki)**, zagrany środkami kameralnymi, wręcz „telewizyjnymi”, szuka bardzo logicznie — chłodnego dojścia do zamierzeń Mrożka.

W konkluzji należy stwierdzić, że szkoda, iż dobry w sumie zespół aktorów nie potrafił się porozumieć w procesie przyrządzania „Indyka”, który podany na zimno też może być smaczny i mimo wszelkich zastrzeżeń wart jest „skosztowania”.

ANDRZEJ CZERNY

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej, „Indyk” Sławomira Mrożka, reżyseria: Jan Kwapisz, scenografia: Rajmund Strzelecki.

POCZĄTKI EDUKACJI

Burmistrz miasta Łodzi Szymon Szczawiński wezwał prześwietną Radę Miejską do przekazania mu akt tej czynności. Rada udzieliła odpowiedzi 22 kwietnia 1818 r. „i przez cały czas ich urzędowania żadne akta nie znajdowały się i nie znajdują, przyczyną, że żaden z Rady Miejskiej czytać ani pisać nie potrafił”. Pismo powyższe podpisał krzyżkami, jako nie umiejący się podpisać: Wawrzyniec Jezewicz, Józef Makowski i Józef Suwalski.

Jak urzędowała owa Rada, wyjaśniała nam wyżej wymienieni radni: „Wszelkie zaś działania i podpisy za Radę Miejską burmistrz miasta Łodzi urzędujący Szczawiński zastępował, a zatem takowe akta w biurze burmistrza znajdować się powinny”.

6 września 1818 r. burmistrz Szczawiński przesłał Komisarzowi obwodu łódzkiego, w granicach którego Łódź się znajdowała, listę kandydatów na ławników. Jest to list kandydatów czterech: Wawrzyniec Jezewicz, Józef Suwalski, Michał Zajackowski, Szymon Grodzicki. Na liście jest rubryczka: „Czytać i pisać czy umieją” i przy każdym nazwisku napisano: „nie umie”. Tak to wyglądała edukacja tych, którzy przodowali w życiu społecznym miasteczka, Łodzi zwanego.

Szkola wszak wtedy w Łodzi była, nawet utrzymywana stosownie do ówczesnych przepisów, drogą składek mieszkańców, ale często nie było w niej uczniów. Trzeba było prosić o interwencję wysokie władze powiatowe, aby zmusić opornych do posyłania dzieci do szkoły.

Pismem z 9 maja 1818 r. Dozór Szkolny, nie mając sobie poradzić z opornymi rodzicami, prosił Komisarza obwodu łódzkiego, aby „wielmożny Komisarz raczył przez surowe kroki zająć wszystkich mieszkańców miasta Łodzi, aby swe dzieci dawali do nauki, albowiem to, co się w porze zimowej nauczyli przez czas paszenia bydła zapomna, a na nowo już nabytych nauk uczyć się będą musieli”.

A szkoła posiadała dobrego nauczyciela. Był nim Urban Jan Zimerman. Tak o nim pisało: „(...) jest upoważniony przez Komisję Wojewódzka na sprawowanie obowiązków nauczyciela i tenże pełni swe obowiązki jak na dobrego nauczyciela przynależy i jest dobrej kondycji”. A wiec była szkoła, był dobry nauczyciel, a mieszkańcy Starego Miasta, choć opłacali składki na rzecz szkoły, dzieci nie posyłali do nauki. Ale wkrótce stęknęli ich do szkoły ulegnie zmianie. Już za następnego nauczyciela, którym był Walenty Bykowski, pracujący w szkole łódzkiej od 1820 r. do 1830 r. frekwencja w szkole była dobra.

Kiedy już Łódź weszła zdecydowanie na drogę swego przemysłowego rozwoju, otrzymała w 1826 r. drugiego nauczyciela. Był nim ewangelik Fryderyk Otto. Szkoła nadal mieściła się na Starym Rynku. Była więc to jedna szkoła o dwóch nauczycielach. Drugą szkołę Łódź otrzymała dopiero w 1829 r. Umieszczono ją w osadzie fabrycznej, zwanej Łódka. Pierwszym nauczycielem tej szkoły został Samuel Wagner. Władze carskie, nie chcąc dopuścić do integracji społeczeństwa, do asymilacji napływającej obcej ludności, stały na stanowisku organizowania szkół katolickich i ewangelickich, czyli polskich i niemieckich. Zaważyło to na życiu kulturalnym miasta i na rozwoju szkół.

Jak wyglądała sprawa szkół elementarnych, najlepiej przedstawia nam pismo Magistratu z 10 czerwca 1861 r., skierowane do Rządu Gubernialnego Warszawskiego:

„(...) W ów czas bowiem, kiedy w Łodzi było ludności stałej dusz 8000, urządzono tu zostały trzy szkoły, mianowicie: jedna na Starym Mieście — katolicka, druga w Nowym Mieście — ewangelicka, trzecia — katolicka w połączeniu z ewangelicką przy ulicy Piotrkowskiej w dzielnicy fabrycznej; później zaś zaprowadzono szkoły dla płci żeńskiej w Nowym Mieście, które dotąd existują”.

Łódź liczyła wtedy 40000 mieszkańców. Magistrat stwierdzał, że przy tej ilości mieszkańców „liczba szkółek dotychczasowych okazuje się za małą i pod każdym względem niedostateczną”.

Proszę więc władze miejskie, aby „urządzić jeszcze w m. Łodzi estery szkoły elementarne w nowej dzielnicy, to jest przy ul. Zarzewskiej szkole katolicka, jedna przy ulicy Przejądź w bliskości nowo budującego się kościoła, także szkołkę jedną, tudzież ewangelickie przy ul. Główniej i ul. Piotrkowskiej”.

Nie są więc dla nas zaskakujące dane przedstawiające stan analfabetyzmu w Łodzi w 1893 r. Ze statystyki wynika, że w roku 1893 na 33417 osób było „wcale nieoświeconych”, to znaczy nie umiających czytać i pisać, 25944 stanowiło to 78 proc. wszystkich. Taki był procent analfabetów w Łodzi i okolicznych gminach w 1863 r., gdy miasto stawało się największym ośrodkiem przemysłowym w kraju. Stan taki trwał do 1919 r., kiedy to uchwała władz miasta Łodzi wprowadzono obowiązek szkolny, zapewniając każdemu dziecku w wieku szkolnym miejsce w szkole. Ale przez długi jeszcze czas głównie w teorii.

TEODOR SUJCZYŃSKI



ŚLUSARSKI OBYCZAJ CIEKAWY JEST NADZWYCZAJ...

Dalszy ciąg ze str. 1

I po zdaniu egzaminu, którego częścią najważniejszą był egzamin praktyczny, czyli wykonanie „majstersztuku”, czeladnik na ogół rozpoczynał wędrówkę, podejmując pracę i dalszą naukę zawodu u kolejnych majstrów. Od „walo się to tak, że przybywszy do nowej kuźni (bo o kowalach tu na razie mowa), czeladnik pięknie klaniał się... kowadłu, a jednocześnie usiłował się zorientować, kto jest właścicielem i majstrem. Jeżeli dochodziło do ugody, czeladnik rozpoczynał pracę, za którą otrzymywał pewną zapłatę oraz — na ogół — korzystał z kuchni prowadzonej przez majstrów. Czasy te są już tak odległe, że tamtejsze zwyczaje i obyczaje, znany z opowiadań najstarszych łódzkich ślusarzy i kowali, którzy słyszeli je od swoich, na ogół już nie żyjących dziś ojców.

MAJSTROWA NA KOWADLE

A więc gdy majstrowa była — delikatnie mówiąc — skrupulatna, czy też po prostu: skąpa, wówczas pod koniec pracy przychodziło do kuźni i siadała na kowadle. Zwykle było to surowo zabronione, na kowadle siadać nie było wolno, bo majstrowie twierdzili, że nie godzi się siadać d... tam, gdzie się pracuje na chleb. Ale niektóre majstrowe siadały, by sprawdzić, czy kowadło jest ciepłe, a więc czy czeladnicy dobrze przykładali się do pracy i czy zarobili na posiłek. Znane są przypadki, że czeladnicy spodziewając się takiego „sprawdzenia” na krótko przed wizytą szefowej, zanosili kowadło do „kotłiny”, czyli tam, gdzie płonął ogień służący do grzania żelaza. Siadanie na tak rozgrzanym kowadle, odczuwało majstrową od zbytej skrupulatności...

Ot, takie tam sobie żarty... Ale praca była nie na żarty. Jeszcze na niedługo przed I wojną światową, w paleniskach kuźni używany był węgiel drzewny, wypalany przez właścicieli kuźni, a właściciele ich personel pomocniczy. Koks powstający przy produkcji gazu dla potrzeb komunalnych, traktowany był wówczas jako bezużyteczny odpad i kowalom zapewne zawdzięczamy, że zamiast wywozić go na śmietniska, jak to się działo i w Łodzi, zaczęto wykorzystywać go do grzania żelaza. Początkowo gazownia koks oddawała za darmo, potem za grosze sprzedawano go mierzając skrzyniami o określonej pojemności, a potem dopiero zaczęła rosnać jego cena...

Praca była ciężka. Bynajmniej nie dlatego, że trzeba było walić młotem. Fachowcy powiadają, że nawet operowanie dziesięciokilowym „Dziadkiem”, albo „Chrzestnym”, dla wprawionego ucznia, to nie straszne. A zdarzali się ślaczce, którym majster, pokazując małym młoteczkami

miejsce, gdzie mają bić dużym młotem, powtarzać musiał bezustannie: „lekkoo... lekkoo...”, żeby się z żelaza nie zrobił bezużyteczny placek.

MŁOTEM I PILNIKIEM

Praca wszakże była ciężka dlatego, że majstrowie gonili za zarobkiem. Lalkom niewiele to powie, ale fachowiec oceni natychmiast, jak katorżna musiała być praca w takiej kuźni, gdzie majster zmuszał czeladników i uczniów, by w ciągu sześciu dni zrobili i „zainstalowali” kompletne okucia dla siedmiu wozów konnych. By podolać temu zadaniu, ludzie ci musieli dosłownie tyrać od godziny 3—4 rano, do 9—10 wieczorem. A o pracę, szczególnie u dobrego majstra, u którego można było się czegoś nauczyć, nie było łatwo. Więc mimo jawnego wyzysku, ludzie kuli, zaciskając zęby...

Były to czasy, gdy cały transport, maszyn, urządzeń, surowców i gotowych wyrobów łódzkiego przemysłu włókienniczego, odbywał się przy zastosowaniu koni, jako siły napędowej. Oczywiście, koni żywych, a nie — jak dziś — mechanicznych. I oczywiście inaczej podkuwano się konie do pracy lekkiej, a inaczej do ciężkiej, a inaczej znów do bardzo ciężkiej, na przykład do ciągnięcia ciężkoładowych roląg między stacją kolei żelaznej w Rokicnach, a fabryka czy hurtownią w Łodzi.

Jedna podkova dla konia „transportowego” kosztowała pół rubla. Jedna podkova dla klaczy pani Herbstowej, kosztowała 3 ruble. A czeladnik zarabiał wówczas 7 rubli na tydzień.

Ala pani Herbstowa mogła sobie pozwolić na to, żeby dla podkucia jej ulubieńca sam majster przychodził najpierw by wziąć miarę, a potem z czeladnikiem, by wykonać ten koński „manicure”. Podkowy złote nie były, ale zrobione tak, że za każdą można było dać co najmniej uprawnienia czeladnicze. Ulubieniec fabrykantowej w tym czasie stał na specjalnie rozłożonym dywanie w hallu stajni, pełnym szaf z kryształowymi szybami, za którymi wisiała kosztowna uprzęż. I nie daj boże, żeby konik w czasie podkuwania pisnął...

Rozwijający się przemysł łódzki stawiał przed kowalami coraz to trudniejsze zadania. Już nie wystarczało podkuwanie wielkich, ciężarowych lor, na których wożono potężne kotły i elementy maszyn, już nie wystarczało wykonywanie bardzo precyzyjnych, często wykrzywionych osi napędów maszyn, albo też podkuwanie lekkich bryczek czy powozów...

Czeladnicy specjalizowali się: był więc „ogniarz prawy” i „ogniarz lewy”, którzy mogli zastępować majstra nawet przy najtrudniejszych pracach. Ale najwyższe kwalifikacje reprezentował falbankier — ten, który pracował na zimno, obrabiając metal pilnikiem, przecinakami, wier-

ciem. Ten był nie tyle artystą, eo prawdziwym mistrzem w zawodzie...

KOWALE ARTYŚCI

A oczywiście, obok tego specjalizowali się kowale — artyści, wycarowujący z metalu ogniem i młotkiem, prawdziwe dzieła sztuki, do dziś podziwiane i niezwykle cenione. Jest w Łodzi sporo, choć coraz mniej, bo nikt ich nie ochrania, prawdziwych dzieł sztuki kowalskiej, na przykład w postaci ozdobnych balustrad na klatkach schodowych, (przy ul. Piotrkowskiej 234, albo w Muzeum Sztuki przy ul. Więckowskiej), czy — bardzo już nielicznych — poręczy balkonów, czy odrzwi bram. O słynnej wielokrotnie reprodukowanej, bramie do dawnych zakładów Poznańskiego (ZPB im. Juliana Marchlewskiego), fachowcy — kowale — mówią, że wprawdzie jej projekt godny jest uznania, ale wykonanie jest nie kowalskie, ale ślusarskie, drogą łączenia wycinanych według wzornika elementów...

Latwo było spośród tysięcy kowalirzemieślników wyszukać kilku czy kilkunastu artystów. Dziś kowali w Łodzi jest kilku, a i tak mało który konie kuje, „żyjąc” ze świadczenia usług dla ludności, a nie dla koni...

A więc tak mniej więcej „narodzili się” ślusarze, którzy w tym roku właśnie obchodzą pięćdziesiątą rocznicę działalności — jubileusz dziesięciolecia działalności cechowej w naszym mieście.

Wspominając z rozrzwieniem, ale bez żalu te czasy, kiedy bywali rzemieślnicy specjalizujący się w wytwarzaniu (ręcznie!) rozmaitego rodzaju gwoździ, także na przykład budowlanych. Wspominając z rozrzwieniem i z żalem te czasy, kiedy egzamin czeladniczy trwał trzy dni, bo chodziło, nie tylko o to, by kandydat wykazał się wiedzą, ale by pokazał, że umie ją wykorzystać. Przewodniczący komisji egzaminacyjnej zawodu kowalskiego (działającej współcześnie) — Zygmunt Wojnarowski, na przykład przez trzy dni wykonywał kompletny tak zwany giszel, czyli przednie okucie do powozu. A co trzeba było umieć, by to zrobić w charakterze „majstersztuku”, czyli mistrzowskiej sztuki, to trudno dzisiaj wytłumaczyć nawet ludziom, którzy do tego zawodu przyszli bez rodzinnych tradycji w ostatnich czasach.

Kto to dzisiaj pamięta, że jeszcze przed wojną były firmy kowalsko-ślusarskie (m. in. firma Aleksander Wróblewski), które wykonywały (ręcznie!), karoserie samochodów osobowych, na drewnianym szkieletcie, pokrywanym blachami, i rezultat nie ustępował dzisiejszej produkcji fabrycznej. Ostatnia taka robota została zrobiona już po ostatniej wojnie. Na samochodzie marki Bedford, dla łódzkiej elektrowni. Dzisiaj Paweł Wróblewski, w trzecim pokoleniu kowal, jeden z ostatnich w Łodzi, zajmuje się wykonywaniem i naprawą resorów samochodowych, co wymaga także wyjątkowych kwalifikacji.

Kowale-artyci, mało dziś mają do roboty. Czasem trafi się zamówienie dla kościoła, czasem coś dla rekonstruowanego zabytku, a najczęściej dla... filmu. Świeczniki, kinkiety, rożny, a wreszcie broń tak zwana biała,

czyli szable rozmaite, rapierzy, mizerykordie — to robota artysty-kowala. Przynajmniej te używane w bliskich planach, bo statystyci posługują się plastikowymi makietami. Ale na pierwszym planie wszystko musi być „jak żywe”, błyszczeć, ciąć i... dźwięczeć...

ZARAZ PO WOJNIE

Okupacja doprowadziła łódzkie rzemieślników do upadku. Warsztaty i narzędzia zostały zarekwirowane przez hitlerowców. Tak, że po wojnie trzeba było zaczynać od zera. Ale natychmiast znalazła się robota przy uruchamianiu przemysłu. Nie było bowiem wtedy bogato wyposażonych narzędziowni, a każda para wykwalifikowanych rąk była nieoceniona, choć płacić nie było czym. Czeka więc jeszcze na badania historyka sprawa udziału łódzkich rzemieślników w przywracaniu do życia fabryk, w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu. Kto tam dziś pamięta, że tuż po wojnie funkcjonował, co prawda krótko, w naszym mieście... Rzemieślniczy Uniwersytet, w którym wykładali uczeni tej miary, co profesorowie: Emil Pałuch, Jan Muszyński, Hilariovicz...

Dzisiaj ślusarze należą do Cechu Rzemiosł Metalowych, skupiającego fachowców różnych branż; kowali i ślusarzy, branży samochodowej i radio-telewizyjnej, grawerów i zegarmistrzów.

Godzi się też wspomnieć, że część rzemieślników skupionych w tym Cechu, zorganizowała spółdzielnię, która dzisiaj nosi nazwę: „Spółdzielnia Rzemieślnicza „Elektrometal”. Obroty jej w roku ubiegłym sięgnęły 145 mln złotych, a zaczęła od niespełna 980 tysięcy złotych!

JUBILEUSZ

Piękny to jubileusz 150-lecia cechu zgromadzenia ludzi, którzy swoją fachowością w niemalym stopniu przyczynili się do budowy Łodzi przemysłowej, a ślady pracy ich „złoty ręk”, widoczne są w mieście na każdym kroku.

Piękny ten jubileusz, uczcić chcą najpiękniej, choć nigdy dotąd nie skupili społecznego wysiłku, budując wiaty przystankowe, urządzenia dla ogródków jordanowskich, czy instalacje fontanny przed Teatrem Wielkim. 150 lat, to jednak nie tyle co. A więc z tej okazji, na placu imienia Stanisława Reymonta — rzemieślnika jak oni, bo przecież z zawodu krawca, który tak znakomicie tę „ziemię obiecaną” opisał — chcą wzniesić społecznym sumptem, jego spiszowy pomnik. Trudno o piękniejszy jubileuszowy prezent!

Rzecz tę całą na podstawie wspomnień: członków Cechu Rzemiosł Metalowych: Władysława Siedleckiego, Pawła Wróblewskiego, Stanisława Wójcika, Edwarda Skuły i Tadeusza Niewiadomskiego, napisał rzemieślnik pióra:

JÓZEF POTĘGA

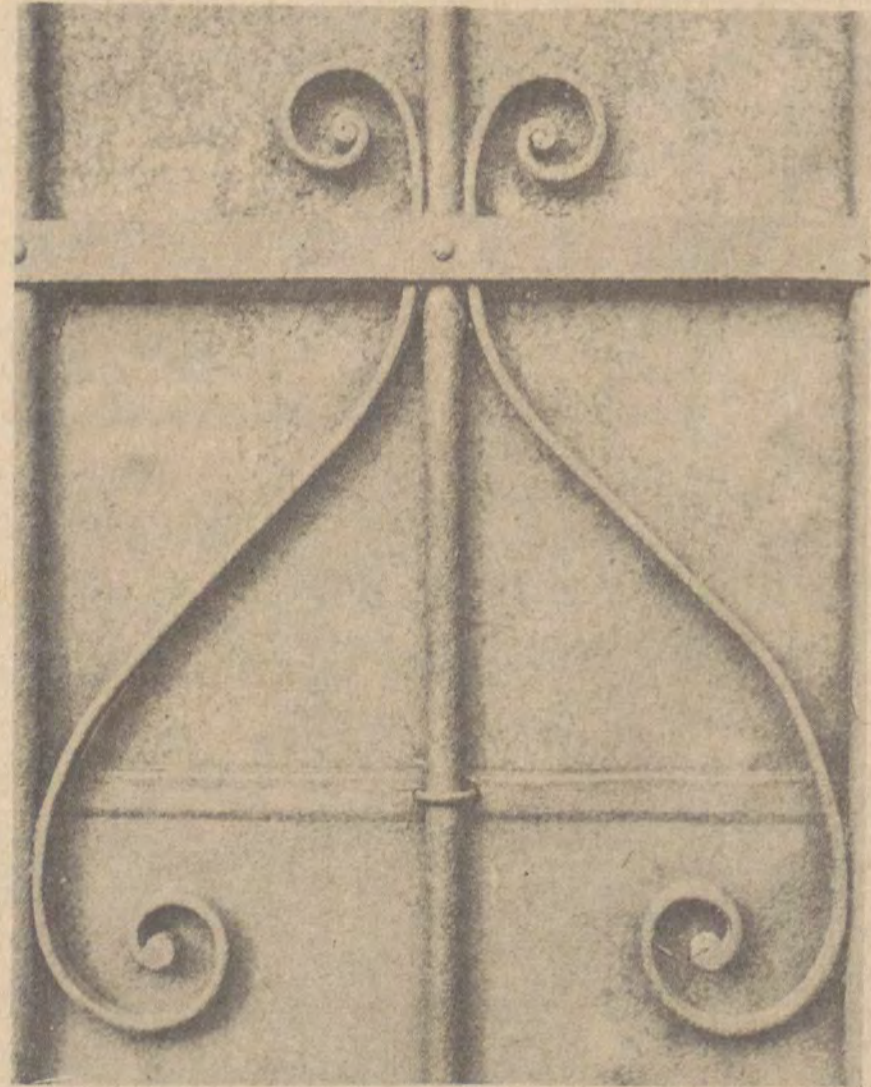


Foto: J. Mendychowski, G. Puciato

Dalszy ciąg ze str. 1

I literaturze specjalistycznej spekulacji, według których dodatkowy chromosom Y wywołuje poważne nasilenie się „agresywnych skłonności” u osób posiadających go w swej strukturze genetycznej.

Przed pięcioma laty, gdy wspomniany zespół naukowców rozpoczął swoją działalność, niewiele jeszcze wiedzano na ten temat, nie istniały naukowo sprecyzowane poglądy. Mały świat genetyków znajdował się jeszcze pod wrażeniem, jak się wydawało, rewolucyjnych odkryć dokonanych w 1965 roku przez szkocką badaczkę, dr Patrycję Jacobs. Przewodzone przez nią badania genetycz-

I pozwalała na wyciągnięcie właściwych wniosków? Ich zdaniem, nie, gdyż wyniki mogłyby być obiektywne tylko wówczas, gdyby badaniom poddano znaczną grupę ludzi przeciętnych, uważanych za całkowicie normalnych, np. mieszkańców jakiegoś miasta. Niebawem też okazało się, że przedsięwzięcie takie jest niemożliwe do przeprowadzenia np. w Stanach Zjednoczonych, gdzie statystyki demograficzne nie są utrzymywane w należytych warunkach i gdzie ludność zbyt często zmienia miejsce zamieszkania.

Wzrost zainteresowania, jaki w kołach naukowych, zwłaszcza wśród genetyków i psychologów wywołały wspomniane „rewelacje odkrywcia” i poglądy uczonych pokroju J. Lederberga, którzy określali fenomen

KOPENHASKI EKSPERYMENT

20 listopada 1971 roku amerykańsko-duński zespół naukowców przystąpił więc do dzieła. Tego dnia wielki duński dziennik „Politiken” opublikował artykuł na ten temat pod wielkim, szerokim na całą kolumnę tytułem: „Podjęcie badań celem sprawdzenia czy prawda jest opinia, że jeden człowiek na tysiąc posiada chromosom zbrodni”. Również duńskie radio i telewizja poświęciły temu wydarzeniu sporo uwagi.

Pierwszym dążeniem grupy badawczej było ustalenie, czy ludzie z zespołem XYY, wywodzący się z

przypadków, 174 osoby odmówiły poddania się badaniom, 138 wyjechało w trakcie trwania eksperymentu, zaś w pozostałych wypadkach adresy otrzymane z Folkeregister nie pokrywały się z rzeczywistymi.

3 stycznia 1972 roku pierwsze próbki krwi i śliny zostały przekazane do laboratorium, gdzie przystąpiono do sporządzania tzw. kariotypów (to jest kart tożsamości genetycznej jednostki, na których zaznaczone są 23 pary chromosomów, co jest jedynym środkiem wykrycia istnienia anomalii).

Pięć miesięcy później, 2 maja 1972 roku, zidentyfikowano pierwszy przypadek „YY”. Do chwili zakończenia owej akcji „polowania na chromosomy zbrodni”, tj. do 20 czerwca 1974 r.,

„DAGNY”

Niewiele kobiet, których imiona wiązano z przedstawicielami kultury europejskiej, może konkurować rozmiarami legendy z Dagny Juel-Przybyszewską. Jednocześnie jednak w mało której tego typu legendzie tyle miejsc niejasnych. Tajemnica otaczająca postać Dagny jest tym bardziej fascynująca, iż w końcu mówiono o niej i pisano wiele. Ze musiała to być kobieta niezwykła, świadczy sprzeczność opinii i sądów, których autorami byli m. in.: Munch, Strindberg, Przybyszewski i programowy burzyciel wszystkich legend, a tym razem także jej współtwórca Boy-Zełński. Z panami tymi legenda łączą Dagny, ale tak naprawdę nie wiadomo czy na przykład była ona kochanką Muncha, czy tylko Muzaą inspirującą jego malarską twórczość.

Atmosfera tajemnicy i skandalu nie opuściła Dagny, gdy ze swym mężem przybyła do Krakowa. Z kim naprawdę w Krakowie była związana, z którym z braci Brzozowskich, w czasie romansu swego męża z panią Jadwigą Kasprozewową, wyjechała do Paryża? Dlaczego zastrzelił się Stanisław Korab-Brzozowski? Jak doszło do tragedii w Tyflisie, gdzie prawdopodobnie zginęła z ręki Emeryka, który sam popełnił samobójstwo? Jaka rolę odegrał w tym Stanisław Przybyszewski? Znaków zapamiętania wiele, wątków niezwykłych w życiu Dagny tak dużo, że sławczyłoby ich na kilka literackich i filmowych dramatów czy tylko melodramatów.

Film o Dagny ma jedną wielką wadę — wszystkie bez mała niejasności tej legendy rozstrzygające, jednoznacznie burzy to, co w niej najpiękniejsze, właśnie niedopowiedzenia. I nie sądzę, że był to obowiązek kolejnych bierafów Dagny, czyli autora scenariusza — Aleksandra Seibora-Rybskiego i norweskiego reżysera Haakona Sandoya. Nie sądzę też, by film, opowiadając dzieło Dagny, mniej więcej zgodne z danymi biograficznymi, konkretyzując postaci i zdarzenia, musiał odbierać im owe piętko tajemniczości i szaleństwa.

W opowieści o Dagny ważniejsza wydaje mi się nie wierność faktom, tym bardziej że była ona niemożliwa, lecz wierność epoce, w której taka legenda zrodzić się mogła. Byłabym jednak niesprawiedliwa, gdybym rzekła, że film Haakona Sandoya pozbawiony jest urody. Uczyniono wiele na rzecz rekonstrukcji atmosfery moderny i obyczajowości ówczesnej bohemy. Dbałość o realizm, wnetrza, kostium, wyrazistość postaci, znajdująca swój wyraz w pięknych zdjęciach Zygmunta Samosiuka, jest bezsporna.

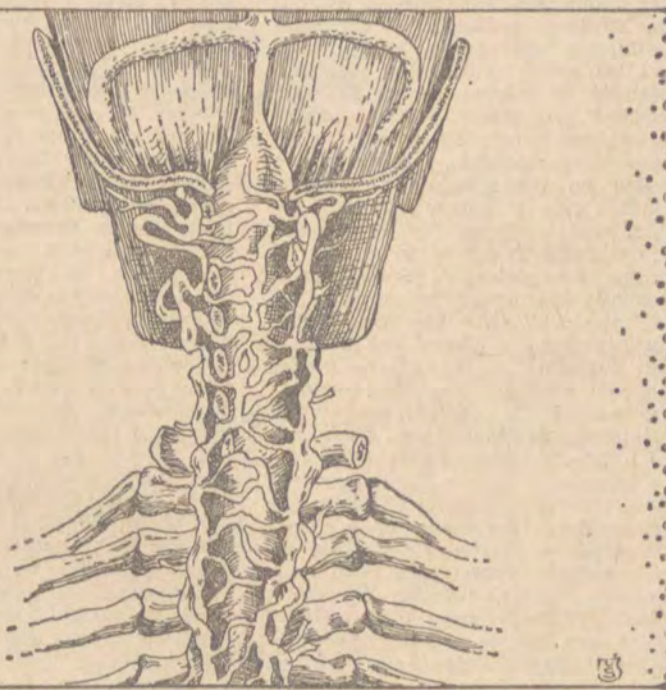
A jednak w owej składance kolejnych epizodów z życia Dagny i Stanisława Przybyszewskiego zabrakło spajającej całość atmosfery, którą można by chyba stworzyć, gdyby historię wielkich namietności, bań tylko ich pozorów, połączył silnie ze sztuką, która w ich kontekście wyrastała. Było to na pewno bardzo trudne do realizacji, jako że ślady tych poczynań w filmie istnieją — uczestniczymy w berlińskim wernisazu Muncha, oglądamy przedstawienie Strindberga, słyszymy Przybyszewskiego wygłaszającego swe credo artystyczne, mówi się o „krzyku nagiej duszy”. Lecz tak naprawdę to go w filmie nie słychać. Ma go zastąpić opowieść o miłości i nieudanym małżeństwie Dagny i Przybyszewskiego, pokazana na tle obyczajowości życia cyganerii czasów modernizmu. Przeszło to o zewnętrznosci obrazu epoki „końca wieku” i jej przedstawicieli, których postawy filozoficzne i twórczej w filmie niestety nie ma. Dlatego współczesnemu widzowi jawi się ona w sposób bardzo powierzchowny, budzi też często niezamierzone efekty komiczne.

Następna słabością filmu, słabością tkwiąca już w samym scenariuszu, jest to, że postaciom autentycznym, a także tylko w filmie tym występują, nie przydano ich rysów szczególnych, a przede wszystkim motywacji postępowania. Z drugiej zaś strony zbyt jednoznacznie niektóre z nich potraktowano, vide — przyczyna rozpadu związku Dagny ze Strindbergiem. Najpełniejszego wizerunku doznał się w filmie Stanisław Przybyszewski w przerywanej miejscami interpretacji Daniela Olbrychskiego, choć na pewno nie rozszyfrowano tajemnicy roli, jaka odegrał w życiu młodopolskiego Krakowa, Lwowa i Warszawy. I tak do każdej postaci, którą film pokazuje, widz dopowiedzieć musi swa wiedzę o niej, wtedy dopiero egzystuje ona pełniejszym życiem. A to już jest wewnętrzna skaza dzieła.

W idealnej dla tematu współpracy filmowców norweskich i polskich na plan pierwszy wysuwa się Lise Fjeldstad, której interpretacja postaci Dagny może się podobać. Jeśli tajemnica losów i osobowości Dagny Juel oraz jej roli w życiu tytułu meskich znakomitości epoki nie znalazła w filmie pełnego obrazu, to nie jest to wina aktorki, lecz wszystkich innych kontekstów koncepcyjnych i realizatorskich, które postać te miały stworzyć. I choć, jak się rzekło, czegoś więcej od autorów „Dagny” oczekiwać by można, trudno powiedzieć, że film ten się nie podoba. Ogląda się go dobrze, choć uczucie niedosytu pozostaje.

ADAM CZERSKI

chromosom zbrodni nie istnieje



Rys. Janusz Szymański-Glanc

ne na 197 osobach odbywających kary za popełnienie przestępstwa w więzieniu w Edynburgu, ujawniły u siedmiu z nich występowanie dziwnej anomalii chromosomowej. Właśnie u tych osób stwierdzono obecność dodatkowego chromosomu Y. Dr Jacobs wyciągnęła stąd wniosek, iż jeśli tego rodzaju zaburzenie okazałoby się być częstym zjawiskiem u więźniów, to jednostki będące nosicielami „YY” można byłoby uważać za predysponowane genetycznie do popełniania zbrodni. Tak powstała teoria „urodzonych przestępców”, zaś „YY” został ochrzczonej nazwą „chromosomu zbrodni”. Wyniki badań dr Patrycji Jacobs zostały uznane wśród genetyków za tak dalece fascynujące, iż wielu z nich postanowiło pójść jej śladami.

Niebawem zresztą dwa kolejne spektakularne fakty utwierdziły ich w słuszności obranej drogi poszukiwań. Oto 14 lipca 1966 roku młody student o nazwisku Richard Speck zamordował w Chicago osiem pielęgniarek. Nieco wcześniej, 4 września 1965 roku, w Paryżu, pielęgniarz Daniel Hugon udusił kobietę lekkich obyczajów. U obu morderców stwierdzono obecność dodatkowego chromosomu Y.

EKSPLOZJA ZBRODNI

Koniec lat 60 naszego stulecia cechował się prawie na całym świecie wzmocnionym wzrostem przestępczości, niemalże eksplozją gwałtów i zbrodni. I oto genetycy umocnieni wnioskami dokonanych badań mogli zaprezentować swym społeczeństwom lekarstwo. Wystarczyło tylko wykryć istnienie „chromosomu zbrodni” u niemowlęcia, aby później móc nad tą jednostką roztoczyć ścisłą kontrolę w celu uniemożliwienia jej ujawnienia swych „agresywnych cech”. Idea ta, tak silnie podzielała na niektóre kręgi genetyków, np. z Uniwersytetu Harvard, iż zaczęli oni ją wkrótce realizować w praktyce. Domagali się np. od kilku amerykańskich klinik położniczych, aby przekazały im pod kontrolę w celu obserwacji ok. 40 noworodków, u których wykryto zespół XYY.

Niebawem jednak sprawa wyszła na jaw i wybuchł skandal z tzw. ludzkimi „królikami doświadczalnymi”. W konsekwencji genetycy z Harvardu podzielili się na dwa obozy. Przeciwnicy projektu argumentowali, że uczeni przypieczętują tym dzieciom etykietkę „chromosomu zbrodni” powodują powstanie u nich trwałego urazu w postaci przeświadczenia, iż są urodzonymi przestępcami. Poza tym twierdzili, iż bynajmniej nie nie dowodzi tego, jakoby zespół XYY miał być synonimem zbrodni. Powołali się przy tym na rezultaty dotychczasowych badań, z których wynikało, że poszukiwania „chromosomów YY” prowadzone wyłącznie w więzieniach, zamkniętych zakładach psychiatrycznych, przytulcach. Czy droga taka była słuszna

XYY jako „jeden z najbardziej wyraźnych przykładów wzajemnego powiązania występującego między strukturą genetyczną a zachowaniami człowieka” — spowodował, iż zagadnienie postanowiono poddać gruntownej i wnikliwej analizie. W tym celu zawiązał się wspomniany na wstępie zespół naukowców, którego zadaniem miało być przeprowadzenie niezbędnych badań. Uwzględniając istniejące dotychczas braki metodologiczne i formalne — wynikające z zawężenia zakresu badawczego do terenu więzień i szpitali psychiatrycznych, jak też z wyciągania wniosków na podstawie obserwacji przypadków pojedynczych — uczeni ustalili, iż swą działalność skoncentrują przede wszystkim na dokładnym zbadaniu genotypu XY w zakresie pewnych charakterystycznych cech psychologicznych, somatycznych oraz funkcji społecznych i rozwojowych ludzi, a także dokonają oceny tych cech.

SPOTKANIE DWÓCH UCZONYCH

Kiedy sprawy projektu zostały na tyle zaawansowane, iż można było przystąpić do sformułowania konkretnych propozycji działania i zamierzeń, doszło do spotkania dwóch głównych pomysłodawców przedsięwzięcia: dr Hermana A. Witkina z Uniwersytetu Princeton i profesora Sarnoffa A. Mednicka z uniwersytetu w Kopenhadze. Miało to miejsce na jesieni 1971 roku w Nowym Jorku. Ustalono wówczas ramy i miejsce realizacji projektu. W rezultacie prof. Mednick miał w ciągu najbliższych lat przy pomocy funduszy amerykańskiego Krajowego Instytutu Zdrowia Psychicznego, utworzyć Instytut Psychologii w Kopenhadze. Cel: badanie i zapobieganie szizofrenii. A dlaczego w Kopenhadze? „Ponieważ Dania — jak stwierdził dr S. Mednick — jest najlepiej nadającym się do tego eksperymentu krajem na świecie, z racji odpowiedniego rozwiązania problemów społecznych, należyte prowadzonych statystyk i charakterystycznych, obywatelskich cech jej mieszkańców”.

I tak oto w Kopenhadze rozpoczęła się operacja „YY”. Rząd amerykański przeznaczył na cel tych badań, zaplanowanych na pięć lat, 310.000 dolarów. Z kolei rząd duński zapewnił „materiał ludzki”, tzn. udostępnił statystyki dotyczące mieszkańców Kopenhagi, którzy urodzili się między 1 stycznia 1944 r. a 31 grudnia 1947 roku. Było ich w sumie — 31.436. Do pomocy zespołowi naukowców skierowano 50 lekarzy, studentów, laborantki, odpowiednich pracowników administracji, archiwów, służby więziennej, szpitali psychiatrycznych i sił zbrojnych. Rząd duński wysunął tylko jedno zastrzeżenie: jakiegokolwiek badania nie mogą się odbywać bez zgody ich uczestników oraz musi być ściśle przestrzegana anonimowość osób badanych.

grona przeciętnych mieszkańców miasta, wykazują objawy większych skłonności do popełniania czynów przestępczych niż ludzie o genotypie XY. Drugim zamierzeniem, w przypadku stwierdzenia takiej prawidłowości, byłoby zidentyfikowanie pewnych typów cech zmiennych, z punktu widzenia rozważań odnośnie relacji zachodzących między obecnością w strukturze genetycznej tych ludzi dodatkowego chromosomu Y, a występowaniem u nich wyraźniejszych cech zachowań antyspołecznych. Pod tym względem za szczególnie interesujące uznano trzy takie zmienne, tj.: agresywność, inteligencję i wzrost. W świetle przeprowadzonych ówczesnie badań uważano, iż decydującą zmienną jest właśnie agresywność. Występowanie dodatkowego chromosomu Y powodowało jakoby nasilenie się objawów skłonności agresywnych, które mogły następnie prowadzić (lub prowadziły) do popełniania zbrodni. Na tej podstawie twierdzono, iż jednostka posiada wrodzone cechy kryminalne.

Odnosnie drugiej z cech, tzn. inteligencji, sądzono aktualnie, iż było całkiem możliwe, że w większości przypadków zaburzeń genetycznych dodatkowy chromosom Y wywierał destruktywny wpływ na rozwój intelektualny człowieka. Z kolei wykryto podobno pewne widoczne oznaki wpływu pojawienia się wad w rozwoju intelektualnym na aktywizację u jednostki nimi dotkniętej, zachowań antyspołecznych.

Co się zaś tyczy wzrostu, to panowała również opinia, według której, gdy człowiek jest bardzo wysoki, może mu to, w przypadku występowania u niego zespołu Klinelfetera (XYY), ułatwiać działania agresywne. Dlatego też badaniem objęto między innymi ludzi o wzroście przekraczającym o 15 proc. wzrost przeciętnego Duńczyka, czyli liczących po 1,84 m i więcej. (Jeśli chodzi o osoby niskie, np. liczące ok. 85 proc. wzrostu normalnego człowieka, to także poddano je badaniom, lecz fakt występowania u nich zespołu XYY był tak rzadki, iż bez popełnienia większego błędu można było tych ludzi wyłączyć z eksperymentu). I rzeczywiście, we wszystkich dotychczas zbadanych przypadkach osób obdarzonych dodatkowym chromosomem Y, cechą niewątpliwie wspólną był ich wysoki wzrost. Toteż, jak się wydawało prowadząc poszukiwania ludzi z anomalią genetyczną wśród wysokich, naukowcy mieli największą szansę powodzenia.

W jakimś czasie później każda z 4.558 „wyselekcjonowanych” osób otrzymała list zawierający zapowiedź wizyty ankietierów oraz prośbę poddania się badaniu krwi, jak też wyrażenia zgody na pobranie próbki śliny. Następnie rozpoczęło się zbieranie danych. W rezultacie tej akcji przeprowadzono testy w odniesieniu do 4.139 osób, co stanowiło ok. 91 proc. grupy wyłonionej na podstawie statystyki wzrostu. Spośród 419 nie zbadanych

wykryto ich obecność u 12 spośród 4.139 przebadanych osób.

Jacy to byli ludzie? Przystępcy? Ekipa profesora Mednicka musiała uzbroić się w cierpliwość aż do początku 1976 roku, aby poznać ostateczne rezultaty swej pracy. Trzeba było bowiem „przetrasnąć” dokładnie archiwa ministerstwa sprawiedliwości, przeprowadzić ok. dwudziestu testów, średnio piętnastogodzinnych, zarówno z każdą spośród osób, u których wykryto zaburzenia genetyczne, jak i z osobami uznanymi za całkowicie normalne — celem dokonania porównań. Należało przebadać ok. 50 tys. odpowiedzi, a następnie wszystkie uzyskane dane zakodować i przesłać do ośrodka komputerowego, celem ich odpowiedniego zinterpretowania. Zachodziła także niejednokrotnie konieczność przeprowadzania badań mózgu przy pomocy fal elektromagnetycznych. Na tym właśnie zeszły dwa lata żmudnej i wyczerpującej pracy.

FIASKO, CZYLI KONIEC MITU

I co się wreszcie okazało? Otóż na 12 osób posiadających dodatkowy chromosom Y, jedynie pięć popadło w konflikt w Temidą. Za popełnienie krwawych zbrodni? Nie podobnego. Tych pięciu „groźnych przestępców” popełniło tylko drobne kradzieże. Jeden z nich nie został nawet skazany na karę więzienia. Najpoważniejszym przypadkiem była kradzież samochodu, członek młodocianego gangu został skazany na 9 miesięcy więzienia za pobicie kobiety. Był to zresztą jedyny akt gwałtu, który mógłby być interpretowany obecnością „YY”.

Dla zespołu profesora Mednicka uzyskane wyniki są więc niezbitym dowodem na to, że „chromosom zbrodni” nie istnieje. Więcej, otrzymane rezultaty pozwalają nawet stwierdzić, że osoby posiadające zespół XYY nie popełniają wcale większej liczby przestępstw niż osoby nie mające dodatkowego chromosomu Y.

Tak więc legenda została obalona, teraz badaczom pozostaje tylko dokładne określenie (przy zachowaniu naukowej ścisłości) psychologicznej i neurofizjologicznej osobowości ludzi z tajemniczymi chromosomami „YY”. Komputery są jeszcze w trakcie analizowania testów psychologicznych i przebiegów elektroencefalogramów. Pierwsze uzyskane dane wskazują np., iż osoby z XYY są wyraźnie mniej inteligentne niż pozostałe jednostki o genotypie XY. To przecież jednak nie dowodzi ich „wzmocnionej” agresywności. A swoją drogą fakt, iż „chromosom zbrodni” okazał się być fikcją, musiał sprawić poważny zawód tym wszystkim, którzy mieli nadzieję na to, że naukowe wytoplenie „przestępców” rozwiąże ostatecznie problem gwałtu i przemocy.

ADAM CZERSKI

EWA NURCZYŃSKA

ZAWSZE
W NIEDZIELĘ

Pisałem kiedyś z żalem, że blok programowy Redakcji Publicystyki Kulturalnej „Tytko w niedzielę” jest tylko w niedzielę. Ostatnio jednak „Tytko w niedzielę” mamy już dwa razy miesięcznie, co — razem ze „Studium 2” w wolną sobotę — daje nam trzy znakomite bloki, każdy po 10—12 godzin.

Zdaje sobie sprawę, że realizacja maratonów programowych jest dla telewizji ogromnym wysiłkiem. Zwłaszcza, że owe bloki nałożone są znakomitymi pomysłami i inicjatywami, że nie ma tam żadnej „zaphajdurowi” żadnych „buforów”. Ponieważ jednak pomarzyć zawsze wolno, niech mi wolno będzie wyobrazić sobie chwilę, kiedy „Studio 2” oglądając będziemy w każdą sobotę, a „Tytko w niedzielę” zmieni tytuł na „Zawsze w niedzielę”.

Potwierdziła się chyba stara prawda, że konkurencja jest rzeczą dobrą i przynoszącą dobre efekty. Oba zespoły przygotowujące oba znakomite bloki programowe przescigają się w pomysłach, bezustannie podnosząc sobie nawzajem przystawki poprzeczki.

Nawet 13 lutego nie był dla Redakcji Publicystyki Kulturalnej feryalny, wręcz przeciwnie. Najnowszy program „Tytko w niedzielę” był jednym z najlepszych.

Nie znaczy to, oczywiście, że przez jedenaście godzin wyłącznie mdłości i zachwyty, ale... Janusz Rolicki w programie „Sam na sam z Franciszkiem Sterowiejskim” powiedział, że dobremu artyście nie trzeba prawić komplementów, że właśnie dobremu artyście można stawiać zarzuty, bo po prostu jest z kim i o co się spierać.

Podobnie z ostatnim programem. Był on tak dobry, że warto się do tego i owego przycepić. Otóż znakomitą pomysłami była aukcja dzieł sztuki w Muzeum Narodowym. Szkoła więc, że mało doświadczeni sprawozdawcy zaparli się w swoich koleżkach — komentatorów sportowych i nieco przegadali audycję. Przecież aukcja to jest czyste, żywiołowe widowisko, mające jednak swoją własną dramaturgię, choć na pewno nie ma napisanego z góry scenariusza. Najciekawsze było więc to, co się dzieje na aukcji, jak ludzie podbijają ceny, jakie dzieła uzyskują wysokie notowania, jakie nie... Słowem, widowisko było ważne, a nie natrętne sprawozdanie reportera, który albo się powtarzał, albo swoją relacją nie wnosił żadnych ciekawych informacji. Przeciwnie — najczęściej zgłaszał to, co się działo na sali, czyli właśnie licytację.

Myślę, że w programach, które same w sobie zawierają ogrom własnej dramaturgii i widowiskowości, ingerencja reporterów winna być bardziej dyskretna. W żadnym wypadku nie powinni zgłaszać.

To tyle w sprawie aukcji. Jeśli chodzi o „Spotkanie z balladą”, to cóż — komplementów powtarzać nie trzeba. Przypuszczam jednak, że to właśnie spotkanie przyjęte zostanie nieco chłodniej niż poprzednie. Brak było Sthura i Sobczuka, którzy tym razem siedzieli tylko na widowni, brak było tego charakterystycznego humoru i lekko ukrytego pazurka... Zresztą na tyle rozumiem się na rzeczy, aby autorem „Spotkania z balladą” nie mieć tego za złe. Po prostu dobrze, że program znów po przerwie zawitał na szklany ekran.

Na koniec refleksja na temat sympatycznej zgadywanki „Na kogo popadnie”. Jest to miła studencka zabawa, którą chętnie wszyscy oglądamy i którą warto kontynuować. Telewizja ma jednak swoje prawa, ale ma także obowiązki. Wiem, że program jest tylko zabawą, ale... W końcu to dziewczyny i chłopcy — stając przed kamerami — w jakiś tam sposób reprezentują studencką brać, choćby tylko stolicy. Może więc do obowiązków telewizji należałoby staranniejszą selekcję tych, którzy potrafiliby błysnąć dowcipem, a już przynajmniej nie kompromitowali się. Sympatyczną dziewczynę z ostatniego programu przepytującą (z kartki) z literatury obecnej swoich partnerów, pamiętamy jako intelektualistkę, która parę tygodni temu nie potrafiła odpowiedzieć na najprostsze pytanie z kanonu kulturalnego człowieka.

Inicjatywa Smolika spotkała się z żywym oddźwiękiem wśród ludzi, dla których sprawy książki nie były objętne. Wytworne edycje spod znaku TBL szybko zdobywają uznanie wśród bibliofilów, a i dzisiaj są przedmiotem westchnień niejednego kolekcjonera. Bibliofile łódzcy organizowali również prelekcje, wystawy i konkursy propagujące wśród społeczeństwa ideę miłośnictwa książki. Głośnym echem w kraju odbiła się wystawa, obrazująca dziesięcioletni dorobek książki polskiej,

TELEMAN

Rok, który minął, okazał się bardzo przyjazny dla białoruskiej literatury w Polsce. Kontakty literackie potwierdziły dalsze pogłębienie się przyjaźni między sąsiednimi narodami. Wiadome jest, że popyt na twórcy ducha ludzkiego nie rośnie automatycznie, że nie jest pochodną ani intensywniej wymiany gospodarczej, ani też solidarności politycznej.

Popyt na literaturę innego narodu wyrasta na innym podłożu — wymaga od dojrzałości estetycznej i pewnej kultury filologicznej, istnienia dobrych dzieł literackich, jak również obecności wykwalifikowanych tłumaczy i krytyków, badaczy i popularyzatorów.

Znany u nas na Białorusi polski poeta i tłumacz o dużym dorobku, Tadeusz Chrościelewski, opublikował w miesięczniku „Literatura na świecie” artykuł, w którym dzieli się swymi rozważaniami o psychologii procesu twórczego i powołaniu tłumacza. Tłumacz, podkreśla T. Chrościelewski, nie jest twórcą, lecz odtwórcą i im mniej zauważalna jest jego obecność w tekście przekładu, tym przekład jest lepszy. Profesjonalne uprawianie translacji wymaga wielkiego samozaparcia, dokonywania gwałtu na własnym stylu. Tłumacz składa siebie w ofierze cudzej indywidualności twórczej. Tylko w rzadkich wypadkach udaje mu się doznać takiego uskrzydlenia, jakie czasami nazywają staromodnym słowem — natchnienie. Zjawia się ono wtedy, gdy „tłumaczony wiersz jest w pewnym stopniu „własny”, to znaczy duchowo bliski”. Pierwsze przypływy natchnienia odczuł szanowany dziś mistrz przekładu już we wczesnej młodości, przyswajając polszczyznę staroruskie byliny, liryki Lermontowa i poematy Szewczenki. „W ostatnim czasie — przyznaje się T. Chrościelewski — natchnienie spadało na mnie podczas tłumaczenia niektórych pozornie prostych wierszy Bogdanowicza, „Ballady rycerskiej” Mełajłisa, czy bardzo refleksyjnych miniatur M. Tanka”. Bardzo to ciekawy

zestaw utworów i nazwisk, a towarzyszyło im, w jakim znaleźli się białoruscy poeci — zaszczytne.

Wiersze M. Tanka, jakie przygotował tłumacz, znalazły się w obszernym zbiorze „Wiersze wybrane”, wy-

WŁADIMIR KALESIK

POLSCY TŁUMACZE

danym w Łodzi w 1974 roku Świątynie wręcz udało się T. Chrościelewskiemu przekłady „Początku ody”, „Janosika”, „Ballady”, „Babki” i in. Tu naprawdę wyczuwa się „harmonię dusz” autora i tłumacza, prawie nie zauważa się i daruje Chrościelewskiemu charakterystyczne dla niego „rozszarganie” w przekazaniu niektórych komponentów obrazu poetyckiego, gdyż ten mankament hojnie okupiony jest poprzez adekwatność wydziwki estetycznej i adekwatność znaczeniową i kompozycyjną wiersza. Wymieniony tom liczy ponad 200 wierszy, a oprócz T. Chrościelewskiego w pracy translatorskiej wzięli owoywny udział Jan Huszcza, Maciej Józef Kononowicz, Jerzy Pleśniarowicz, Janina Brzostowska — ogółem ponad dziesięciu poetów-tłumaczy. Zrozumiałe, że pierwsze skrzypce trzymał w swym ręku redaktor zbioru Igor Sikirycki. Udało mu się wybrać rzeczy naprawdę znaczące w twórczości M. Tanka i sam o wspaniałym przetłumaczył i dał polskiemu czytelnikowi tak skomplikowane i trudne w transformacji na głębię polską wiersze, jak „Ave Maria”, „Niechaj piszą wolni”, „Koncert na ścianie” i inne. Wspomniany tom wierszy M. Tanka jak i analogiczny tom wierszy Maksima Bogdanowicza, zredagowany o rok wcześniej przez Janę Huszcza — to wydarzenie takiej wagi w naszych kontaktach literackich, że zasługują na oddzielne omówienie. W niniejszym, krótkim prze-

glądzie mogę przytoczyć zaledwie tylko parę cytatów z przedmowy I. Sikiryckiego na temat właściwości poetyki M. Tanka. „Nadzwyczajnie bogata indywidualność twórcza białoruskiego poety i jego wybitne mistrzostwo

pozwalają nam z jednaką swobodą ukazywać świat czysto lirycznych przeżyć, jak i często, ale nadzwyczaj trafnie wzbogacać wiersz elementami subtelnej ironii i ciepłego, dobrodusznego humoru”. Rozwijając myśl o bogactwie palety M. Tanka, redaktor tomu zwraca uwagę, że najtrudniej jest tłumaczyć to, co jest najbardziej poetyczne, jeśli przyznać rację tym teoretykom, którzy twierdzą, że poezja jest w ogóle sztuką nieprzetłumaczalną. „Szczególnie utwory żartobliwe, bliskie sztuce ludowej — wyznaje I. Sikirycki — stawiają przed tłumaczem bardzo trudny problem zalecenia polskich „odpowiedników” obcych idiomów, przekazania złożonych konstrukcji składniowych, opartych na łańcuchu antytez, pozornie paradoksalnych treści, czy całej girlandy komicznych sytuacji — tak charakterystycznych dla zabużańskiej bajki i anegdoty. Nie znaczy to, że inne, pozornie proste utwory, w jakich poeta wypowiada się za pomocą prozaicznie brzmiącej frazy, nie kryją w sobie zdradliwych pułapek. Bo wiersze te nie pozbawione są dyscypliny rytmicznej, najczęściej opierają się na skomplikowanej melodii, która nie zawsze udaje się odtworzyć idealnie”.

Warta jest uwagi śmiała inicjatywa Jana Huszczy, który w 9-tym numerze miesięcznika „Poezja” opublikował wybór tłumaczeń 17 współczesnych poetów Białorusi. Rzucają się w oczy przekłady „Pamięci A. W.”

czy oddać namiętności na miarę pytań o sens życia, bowiem ta dyskusja, wychodząc z liczby i ekonomiki przedsiębiorstwa sięga do problemów społeczno-psychologicznych, filozoficznych.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

TEATR ZA SIÓDMĄ RZEKĄ

Sztuka Aleksandra Gelmana jest zatem sztuką problemu i aktora. Zarówno w Rydze jak i w Łodzi zasadniczy problem moralno-filozoficzny, dzięki znakomicie zagranym postaciom, rozgrywa się między Solomachinem, sekretarzem komitetu zakładowego (Romuald Ancan, Wirgiliusz Gryń) i Batarecem, dyrektorem naczelnym kombinatu budowlanego (Valentin Skulme, Ryszard Sobolewski). W efekcie zwyciężają racje Solomachina, który stoi od początku po stronie brygadziisty Potapowa (Andrzej Jurczak). Są one bowiem racjami społecznymi i Batarecem o tym wie. Kiedy nie może zbagatelizować problemu, kiedy pomiędzy nim a Potapowem rośnie mur nieporozumienia, Batarec ustępuje. Wie, że przegrał, bo nie potrafił przed zwierzchnikiem bronić racji społecznych, racji obywatelskich, jak teraz przed nim bronił je Potapow.

Sztuką problemu i aktora jest również najnowsza premiera w Teatrze im. S. Jaracza „Siódma rzeka” Aleksandra Seibora-Ryńskiego. Tu jednak siałą teatr do czasów odległych. Akcja sztuki (czyś się w ostatnich dniach lutego 1947 roku w jednym z miast Polski centralnej). Główny szef Urzędu Bezpieczeństwa z

Układ postaw reprezentowanych przez poszczególne postacie jest wykładnikiem sytuacji i konfliktów pierwszych lat polskiej rewolucji społecznej. Obok Lachowicza (Jerzy Przybylski) stoi główny jego polityczny antagonist, Korzec, zastępca szefa Urzędu Bezpieczeństwa (Wirgiliusz Gryń), człowiek, który rozumie pobudki działania Lachowicza. Z drugiej strony stoją nieprzejednani pragmatycy: Roslaniec, dowódca podziemnej grupy bojowej, Cerkiewnik, oficer UB, Roland, major z Centrali (Maciej Małek, Stanisław Jaroszyński, Bogumił Antczak). To między nimi rozgrywa się zasadnicza walka, chociaż kłęką ponoszą Korzec i Lachowicz. Ale prawdziwym zwycięzcą jest terazniejszość, która precyzyjnie i sprawiedliwie rozstrzygnęła tamte problemy. I dlatego mniej istotne są dziś racje reprezentowane przez jednostkę niż te, które sprawdziła i przyjęła społeczna praktyka, społeczne i historyczne doświadczenie.

Chociaż spektakl nie daje swego wykładnika postaw wobec rzeczywistości powołanej w sztuce przez autora, podkreśla jednak, że gra toczy się między Korcem a Lachowiczem o rację polityczną, bo przecież wreszcie tacy komuniści, jak Korzec przetrwali.

Chociaż spektakl nie daje swego wykładnika postaw wobec rzeczywistości powołanej w sztuce przez autora, podkreśla jednak, że gra toczy się między Korcem a Lachowiczem o rację polityczną, bo przecież wreszcie tacy komuniści, jak Korzec przetrwali.

R. Baradulina, „Mojej republice” K. Kirejenki, pięciu najnowszych wierszy M. Tanka i innych. Należy odnotować, że Jan Huszcza odważnie zabiera się do tłumaczenia wierszy, które miały już kiedyś swoje przekłady, co prawda niezbyt udane, jak np. „Gdzie oni są?” M. Tanka.

Spośród licznych białoruskich prozaików najwięcej uwagi w 1974 roku zwrócili na siebie Janka Bryl, Wasilij Bykow i Oleś Adamowicz.

Nazwisko pierwszego znane jest polskiemu czytelnikowi od 1950 roku, kiedy to była wydana jego powieść „W Zabłociu świta” (przekład niezbyt udany — z rosyjskiego tłumaczenia), później sukces przyniósł mu tom opowiadań „Patrzeć na trawę”, zebrany i świetnie, zdaniem Polaków, przetłumaczony przez Macieja Józefa Kononowicza (Łódź, 1972 r.). Ubiegły rok przyniósł jeszcze jeden wybór „Świat daleki i bliski” (przekład Ewy Rajewskiej), w który weszły powieści „Sierocy chleb”, „Na Bystrzańcu”, parę nowel i miniatur lirycznych. Wybór ten doczekał się już szeregu pochlebnych recenzji.

Oczywiście, kontakty literackie nie mogą mieć charakteru jednostronnego, współpraca jest w tym wypadku niezbędna.

Prasa polska przejawia zrozumiałe zainteresowanie wydaną na Białorusi antologią łódzkich poetów „Milionowe miasto a my”, wyborem opowiadań „Od Bugu do Odry” i przekładem powieści M. J. Kononowicza „Imiona miłości”, opublikowanym w „Polymiu”. Szczegółowo poinformowano czytelników o rozmowach, jakie przeprowadziła grupa polskich pisarzy i wydawców z kierownictwem Związku Pisarzy Białoruskiej SRR i wydawnictwem „Masteczkaja literatura”. Plany wydań literatury polskiej na Białorusi na pewno zostaną poszerzone i zwiększone.

TŁ.: S. N.-K.

Zaledwie przed rokiem pisałem o trudnej sytuacji w Teatrze im. S. Jaracza, o nie wykorzystanych siłach i środkach doskonałego zespołu aktorów, o zaprzestaniu jego możliwości twórczych itd., itp.

Zaledwie minęło kilka miesięcy i zaszły duże zmiany, które potwierdzają ogromne możliwości tkwiące w zespole aktorskim: „Nieboska komedia”, „Noc Trybada”, „Protokół z pewnego zebrania”, „Siódma rzeka”. Jaka rozległość skali barw, problemów i epok. I to wszystko w ciągu jednego, niepełnego sezonu.

O „Nieboskiej komedii” i „Nocy Trybada” już pisałem. Aby obejrzeć sztukę Aleksandra Gelmana „Protokół z pewnego zebrania” czekałem na specjalną okazję: wizyte aktorów w dużym zakładzie, gdzie problemy poruszone w „Protokole” zabrzmiłyby niezmiernie aktualnie. I tak się stało. Potwierdziła to uwaga jednego z widzów: „No, jutro się zacznie dyskusja”.

Na czym więc polega tak duże zainteresowanie sztuką A. Gelmana. Najpierw był przecież scenariusz filmowy i doskonały film „Premia”, potem sztuka teatralna i liczne premiery w ZSRR (ogłądałem jedną z nich w lotewskim teatrze w Rydze). A i u nas zarówno film, jak i sztuka wywołały ożywione reakcje widowni. Wiąże się to oczywiście z problemem, który A. Gelman „zaktywizował” w „Protokole”: Dyrekcja źle zorganizowała pracę. Zjednoczenie zaniżyło plan, brygada budowlana odmówiła przyjęcia premii. Zebranie, które widz obserwuje, jak przez szklaną ścianę, jak w monitorze ciekawą operację, obnaża złożoność sytuacji, odstawiając skądś kompletnie społeczne warstwy zewnętrznej tkanki. A aktorzy starają się w sposób prosty, prawdziwy, niemal naturalistycznie

eksponowana w Miejskiej Galerii Sztuki w grudniu 1930 r. Działalność bibliofilów przerwała wojna. Odrodzenie ruchu bibliofilskiego w Łodzi nastąpiło w 1958 r. za spr-

eksponowana w Miejskiej Galerii Sztuki w grudniu 1930 r. Działalność bibliofilów przerwała wojna. Odrodzenie ruchu bibliofilskiego w Łodzi nastąpiło w 1958 r. za spr-

MAREK CZECHOWSKI

PÓŁWIECZE ŁÓDZKICH BIBLIOFILÓW

wą dyrektora Biblioteki Miejskiej, Jana Augustyniaka. Z jego to inicjatywy w ramach Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich utworzono Klub Miłośników Książki, nawiązujący w swej działalności do tradycji Towarzystwa Bibliofilów.

W ciągu swej ośmioletniej działalności Klub rozwinął szeroka akcję propagowania spraw książki wśród łódzian. Organizowano prelekcje, wystawy i odczyty, prowadzono dyskusje, zapraszano ciekawych ludzi ze świata bibliofilii. Równocześnie powstawały kolekcje książek i ekslibrisów. Skromne możliwości Klubu nie pozwoliły na rozwinięcie działalności edytorskiej. Wśród nielicznych

druków poczesne miejsce zajmuje praca Jadwigi Siniarskiej-Czaplickiej „Znaki wodne papieru Mazowsza. 1750—1850”, oraz dwie teki ekslibrisów. Bibliofile zrzeszeni w KMK zorganizowali też pierwszą na terenie

miasta aukcję bibliofilską, która odbyła się w gościnnych progach antykwarium „Słowo” dnia 20 grudnia 1959 r. Wydana z tej okazji katalog aukcyjny, zaopatrzonej w dwa odciski notościowe ekslibrisy. Dochód z aukcji przeznaczono na fundusz wydawniczy Klubu.

Rok 1967 kończy działalność Klubu Miłośników Książki. Na jego miejsce utworzono samodzielną już organizację — Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki. Dziesięcioletnia działalność Towarzystwa zaowocowała w postaci kilkudziesięciu druków, dokonanych zarówno pod względem edytorskim, jak i opracowania typograficznego. Są wśród nich katalogi

szli ową symboliczną siódmą rzekę. I z tego punktu widzenia może trochę razić dojrzałość aparycyjna J. Przybylskiego i W. Grynia. Ale ich aktorstwo jest wysokiej próby. Ież tu odnieci, kiedy dochodzi do bezpośrednich rozmów, jak świetnie uchwycono nie porozumienia ludzi, których wszystko dzieli. I nawet „zmonumentalizowana” dekoracja Lucji Kossakowskiej nie zaszkodziła w kameralnej propozycji aktorskich. Chociaż zbyt wiele energii kosztowało aktorów przewyciężenie owej zgola zbytycznej monumentalizacji. Kameralność sytuacji bowiem pozwala dopie- ro na uchwycenie prąd rządzących w ogólniejszych wymiarach. Dlatego też kiedy A. Gelman szuka sensu życia i odpowiadzi na dręczące pytania w sztuce produkcyjnej o wyraźnym kameralnym charakterze, A. Seibor-Ryński poszukuje tych samych odpowiedzi na inne pytania w kameralnej akcji historycznej, tak bliskiej specyfice polskiej literatury i rzeczywistości.

A zatem Teatr im. S. Jaracza podjął znowu dyskusję nad istotnymi problemami współczesności, wychodząc ze słusznego założenia, że teatr jest sztuką najbardziej społeczną w odróżnieniu od poezji, muzyki i malarstwa, jest „barometrem świadomości społecznej”.

Teatr im. S. Jaracza Aleksander Gelman „Protokół z pewnego zebrania”, przekład: Jerzy Koenig, reżyseria: Jan Maciejowski, scenografia: Stanisław Bąkowski, premiera 30.X.1976 r.

Aleksander Seibor-Ryński „Siódma rzeka”, reżyseria: Jan Maciejowski, scenografia: Lucja Kossakowska, premiera polska 14. I. 1977 r.

wystaw ekslibrisów, karnety i zaproszenia, przepiękne książki — wiersze, ilustrowane oryginalną grafiką. Druki noszące sygnet wydawniczy LTPK są cenione i poszukiwane nie tylko w kraju. Od 1972 r. bibliofile rozpoczęli publikację materiałów ze swej działalności w postaci „Listów bibliofilskich”, trzeci tom tego unikalnego wydawnictwa, mający ukazać się jeszcze w tym roku, poświęcony będzie 50-letniej tradycji bibliofilstwa łódzkiego.

Niemalą to zasługa długoletniego prezesa LTPK, a uprzednio prezesa KMK, Michała Kuny, inicjatora większości wydanych druków i poczyną. Działalność łódzkich bibliofilów doczekała się już szeregu opracowań, żeby wspomnieć tylko prace Janusza Dunina i Witolda Wierzonki poświęconą Towarzystwu Bibliofilów w Łodzi, a opublikowaną na łamach Prac Polonistycznych „zy „Kalendarium działalności KMK” w drugim tomie „Listów bibliofilskich”. Próbę ogarnięcia całokształtu zagadnień miłośnictwa książki na terenie łódzkim podjęli niedawno Cecylia i Janusz Duninowie w swej uroczej książce „Ekslibrisy, książki, ludzie...”. Pasjonująca to lektura.

U PRZYJACIOŁ

Podmoskiewska miejscowość PIEREDIEŁKINO cieszy się przeszło 40-letnią tradycją jako miasteczko-osiedle radzieckich pisarzy. Nazwa osiedla, położonego wśród pięknych lasów — stwierdza „Literaturna Gazieta” — jest nierozdzielnie związana z historią literatury radzieckiej. Pieriedielkino założono w 1934 r. z myślą o stworzeniu odpowiednich warunków inteligencji twórczej, wyznaczając na ten cel 72 hektary. Wkrótce też stanęły pierwsze domki — „daczki”. Dziś jest to spore leśne miasteczko z ulicami noszącymi nazwiska klasyków literatury radzieckiej. Osobne miejsce zajmuje dom pracy twórczej z hotelem, czytelniami, salą konferencyjną i całym potrzebnym wyposażeniem. O ile w domu pracy twórczej goście zmieniają się często, o tyle w samym miasteczku prominentni lokatorzy mieszkają tu i tworzą od lat. Np. przy głównej ulicy im. Serafimowicza mieszka nestor radzieckich poetów — STIEPAN SZCZIPACZOW. „W Pieriedielkine mieszkam już przeszło 30 lat — mówi — wszystkie moje wiersze z tego okresu powstały właśnie tutaj, gdzie tak wspaniale się pracuje i odpoczywa”. Nie opodal znajduje się mieszkanie słynnego prozaika WIENIAMI KAWIERI-NA, autora „Dwóch kapitanów”, który mieszka w P. od roku 1947.

Do tradycji miasteczka należą spotkania pisarzy z młodzieżą twórczą, głównie słuchaczami INSTYTUTU LITERACKIEGO IM. GORKIEGO. Obecnie w osiedlu mieszka i pracuje około STU PISARZY. Niemal wszystkie „daczki” stanowią własność funduszu literatury. Ale mimo letniskowego charakteru osiedle nie ma nic z kurortu czy też ośrodka czasowego. Jest to raczej wielkie laboratorium twórcze, autorzy mają okazję do wzajemnych konsultacji, przedstawiając kolegom świeżo napisane utwory, odbywają się dyskusje i narady.

Nieco inny charakter ma dom pracy twórczej. Tu na parotygodniowy pobyt zjeżdża głównie młodzież. Odbywają się tu seminaria i spotkania, na których młodzież literacka ma okazję poznać sławnych mistrzów pióra, usłyszeć ich opinie o swoich utworach. Dom pracy twórczej od szeregu lat prowadzi (z w. księgi) pamiątkowa, do której na zakończenie pobytu wpisują się uczestnicy, informując nad jakimi utworami tutaj pracowali. Będzie to niewątpliwie ustatkowanie dla przyszłych badaczy historii literatury. Ze swej strony „Literaturna Gazieta” postuluje utworzenie w Pieriedielkine MUZEUM LITERATURY RADZIECKIEJ.

W jednym z ostatnich numerów „Izwiestii” zabrał głos nestor kinematografii radzieckiej MAREK DOŃSKI. Jego interesująca wypowiedź nosi charakter przesłania skierowanego do młodych twórców. „Ażby poruszyć serca milionów widzów — pisze Doński — nie wystarczy po prostu być artystą, to znaczy człowiekiem posiadającym umiejętność obrazowego dostrzegania rzeczywistości, rysowania ludzkich charakterów, sprawnie posługującego się nowoczesną techniką. Nasza epoka wymaga od twórcy znacznie więcej: filozoficznego przemyślenia i pojmowania współczesności, dojrzałości światopoglądowej, obywatelskiej postawy. I chyba trudno byłoby dziś znaleźć reżysera-filmowca, który by nie zastanawiał się nad tym problemem, nie analizował swej twórczości z punktu widzenia otaczającej go rzeczywistości, to znaczy tego bogatego materiału, który codziennie podsuwa nam życie... Dlatego, moim zdaniem, ogromną wagę mają dla kinematografii radzieckiej poszukiwania, mające na celu wydobycie głównych cech charakteru człowieka w sferze jego działania. Wiadomo bowiem, że miarą wartości każdego z nas jest sprawa, której służymy. Niewątpliwa trudność tematyki produkcyjnej w sztuce kryje się w tym, że dramatyczny konflikt nie jest tu dostrzegany na pierwszy rzut oka... WSIEWOŁOD WISZNIEWSKI pisał tak: „To najwyższa nagroda, kiedy twoja sztuka, twój film widzi się w życiu i działa jak aktywna siła polityczna”. Wehdość na plan, powinniśmy zawsze o tym pamiętać.

PAŃSTWOWA ORKIESTRA SYMFONICZNA Związku Radzieckiego obchodzi w br. 40-lecie działalności. Program jubileuszowego koncertu wypełniły utwory Wagnera, Debussy'ego, Skriabina i Prokofiewa. Założycielem tego znanego w całym świecie muzycznym zespołu był prof. Aleksander Gawk (1893—1963). Od roku 1965 do chwili obecnej kierownikiem artystycznym zespołu jest EUGENIUSZ SWIETLANOW.

Również swoje 40-lecie istnienia obchodzi Państwowy Akademicki Zespół Tańca Ludowego ZSRR znany powszechnie jako ZESPÓŁ MOISIEJEW.

Proces narastania wyścigu zbrojeń grozi stale wzrostem niebezpieczeństwa konfliktów wojskowych, włącznie z niebezpieczeństwem katastrofy jądrowej. W każdej godzinie wydaje się na naszej planecie 34 miliony dolarów na cele wojskowe, każdego dnia umiera z głodu 10 tysięcy ludzi. W 1976 roku wydano na zbrojenia ponad 300 miliardów dolarów. Porównajmy to z sumą 125 miliardów dolarów, którą trzeba by wydać w dziesięcioletnim na polepszenie bytu ludności, zamieszkującej słabo rozwinięte rejony świata.

Kraje naszego obozu konsekwentnie i uparcie walczą o wstrzymanie wyścigu zbrojeń, o rozbrojenie, całkowity zakaz użycia broni jądrowej, wyzwanie się użycia siły w stosunkach międzynarodowych. Są zawsze gotowe do zawarcia konkretnych międzynarodowych porozumień zmierzających do trwałego usunięcia groźby wojny.

Przeciwnicy odprężenia, reprezentujący interesy wojskowo-przemysłowego kompleksu, zaniepokojeni sukcesami sił postępowych na drodze umocnienia pokoju i bezpieczeństwa narodów starają się przeszkodzić nowej administracji USA w podjęciu, wraz ze Związkiem Radzieckim, kroków zmierzających do okiełznania wyścigu zbrojeń. Te poczynania militarystycznych kół USA potępiają szerokie kręgi amerykańskiego społeczeństwa, żądając redukcji ogromnego wojskowego budżetu Stanów Zjednoczonych i użycia zwolnionych w ten sposób środków na potrzeby pokojowego sektora ekonomii kraju.

Za każdym razem kiedy w Kongresie USA dyskutuje się problemy wydatków wojskowych, w Waszyngtonie rozlegają się głosy wrzaski Pentagonu o tak zwanych agresywnych zamierzeniach Związku Radzieckiego. Jednakże obecna kampania antyradziecka ma na uwadze dale idące cele niż tylko kolejne „wyduszenie” ogromnych środków na użytek kompleksu wojskowo-przemysłowego. Sądząc z licznych faktów, że w szczególności opracowana i doskonale zorganizowana akcja jest ukierunkowana na podważenie wysiłków zmierzających do dalszego osłabienia napięcia w Europie i ograniczenia wyścigu zbrojeń.

Podobne wrzaski o „sowieckim zagrożeniu” rozlegały się również i dawniej, i miały na celu zastraszenie amerykańskiego narodu i członków Kongresu, a w konsekwencji — wymuszenie dalszego zwiększenia wydatków wojskowych USA, pod pretekstem zapewnienia „bezpieczeństwa narodowego”. Już w 1956 roku Pen-

tagon wymyślił tzw. „pozostawienie w tyle” za Związkiem Radzieckim w zakresie lotnictwa strategicznego, co stworzyło podstawy do asygnowania kolosalnych środków na wyproduk-

wych bardzo kosztownych systemów uzbrojenia.

Obecna antyradziecka kampania, rozkręcona przez burżuazyjną prasę i niektórych politycznych i społecz-

KOMU ZALEŻY NA UTRZYMANIU NAPIĘCIA

wanie bombowca B-52. Wkrótce potem pojawiły się informacje, iż Stany Zjednoczone mają „czterokrotnie lub nawet pięciokrotnie” więcej bombowców niż ZSRR.

Podobną kampanię zastraszania społeczeństwa amerykańskiego i Kongresu zorganizowano w 1960 roku, kiedy to podniesiono wielki szum w związku z rzekomym „rakietowym pozostawianiem w tyle” Pentagonu za Związkiem Radzieckim. To znów pozwoliło amerykańskiemu wojskowemu na „przyduszenie” Kongresu i otrzymanie ogromnych środków na „likwidację tego dystansu”. Wkrótce po zakończeniu tej alarmistycznej kampanii siły zbrojne USA przyznały, iż „przeceniły” radziecką potęgę rakietową blisko trzydziestokrotnie.

Obecną wrzaskliwą kampanię antyradziecką rozpoczął generał — major G. Keegan, niedawno odwołany ze stanowiska szefa wojskowego wywiadu USA. Generał, który już dawno „wslawił” się jako namiętny przeciwnik ZSRR oświadczył, iż Związek Radziecki daleko wyprzedził USA zarówno pod względem uzbrojenia konwencjonalnego, jak i potęgi jądrowej. Następnie generał dorzucił pomuro, że w najbliższych 10 — 20 latach nie jest wykluczona ewentualność „największego w historii globalnego konfliktu, jeżeli nie nastąpią radykalne zmiany w poglądach na informacje amerykańskiego wywiadu”.

Dosłownie w kilka godzin po tym „globalnym ataku” generała-majora z analogicznymi wnioskami wystąpili ówczesi: dyrektor CIA, minister obrony i prezydent Ford. Wraz z nimi podniósł niezmierny szum „Komitet dla spraw istniejącego niebezpieczeństwa”, którym kierują takie „jastrzębie” jak U. Rostow i sekretarz — skarbnik redakcyjnej unii zw. zaw. AFT—KPP L. Kirkland. „Komitet” odgrywa wiodącą rolę w podtrzymaniu wywiadu w duchu Keegana.

Teraz wszystkie wysiłki uczestników obecnej kampanii zastraszania są skierowane na powstrzymanie Prezydenta Cartera od zapowiedzianej redukcji budżetu wojskowego o 5—7 miliardów dolarów oraz wymuszenie środków na stworzenie no-

nych działaczy USA, różni się od poprzednich tym, że odbywa się nie tylko w czasie zatwierdzania budżetu, lecz także w okresie światowej ofensywy pokojowej, podjętej przez pokojowe siły wszystkich krajów, w tym również Związku Radzieckiego.

Jak wiadomo — pisze komentator polityczny amerykańskiego pisma „Peoples World” — przedstawiciele NATO i Układu Warszawskiego prowadzą rozmowy w Wiedniu, dążąc do redukcji ilości wojsk i poziomu uzbrojenia w Środkowej Europie. Z drugiej strony Związek Radziecki zwrócił się z apelem do administracji USA, żeby podjęła zdecydowane kroki w celu zawarcia długoterminowego porozumienia o ograniczeniu zbrojeń strategicznych.

Mimo podpisania Końcowego Aktu Konferencji w Helsinkach, rządzące koła USA rozpoczęły kampanię, o zwiększenie potencjału wojskowego NATO. Uzasadnia się to przede wszystkim tym, że w Europie szerzy się ruch pokojowy, rosną wpływy partii komunistycznych we Włoszech, Francji i Portugalii. Traci swoje pozycje faszyzm w Hiszpanii, obalono juntę wojskową w Grecji, potężnie wstrząsnął podstawami NATO kryzys w stosunkach między Turcją, Cyprzem i Grecją.

Na europejskiej scenie politycznej aktywizuje się ruch demokratyczny i robotniczy, staje się praktycznie nieuniknione włączenie w niedalekiej przyszłości komunistów w skład rządów największych krajów zachodnioeuropejskich. Zaostrenie walki klasowej nie wzbudza w Waszyngtonie entuzjazmu.

Przed odejściem ze stanowiska sekretarza stanu H. Kissinger powiedział: „Nie należy sobie wyobrażać, że Stany Zjednoczone mogłyby zachować siły lądowe w Europie, gdyby do rządów państw zachodnich weszła znaczna liczba komunistów. W tym wypadku zawałiłoby się same podstawy naszego atlantyckiego bezpieczeństwa”.

Z takich poglądów można chyba wywnioskować następujący wniosek: Obecnie Waszyngton jest bardziej zaniepokojony wzrostem ruchu robotniczego i demokratycznego w świe-

cie, niż jakimś mitycznym radzieckim zagrożeniem. Rozmowy w Wiedniu są więc decydującym elementem w doniosłym zagadnieniu naszych czasów: dokąd pójdzie Europa. Na razie wszystko wskazuje na to, że nawet odległa perspektywa Europy pokoju i dobrych stosunków sąsiedzkich nie mieści się w żaden sposób w scenariuszu NATO, napisanym przez Stany Zjednoczone.

Związek Radziecki dąży do zlikwidowania w Europie potencjalnego „gorącego zarzewia” planety. Jednakże Zachodnia Europa bez NATO nie urządziłaby przeciwników odprężenia w USA. A dla umocnienia tej organizacji — pisze publicysta „Peoples World” — potrzebny jest im mit o „sowieckim zagrożeniu”, wymyślony tylko po to, żeby móc zwiększyć i usprawiedliwić wydatki na cele wojskowe z federalnego budżetu USA.

JERZY CZECH

Pewnego jesiennego dnia, w niewielkim hotelu w Osace zebrało się około 500 mężczyzn, którzy zjechali tutaj ze wszystkich krańców Japonii. Wszyscy byli członkami dwóch największych syndykatów gangsterskich, a przyjechali po to, żeby pożegnać na wieki jednego ze swych bossów, który padł ofiarą miejscowych konkurentów. 350 policjantów mundurowych i ponad tysiąc ubranych po cywilnemu otoczyło hotel, zarządzonego przez jednego z bossów, który obserwację międzynarodowego portu lotniczego i dworców kolejowych w Osace. Po zakończeniu ceremonii żałobnej, na którą notabene

GANGSTERZY POD OPIEKĄ POLICJI

władze nie wydały zezwolenia, policja aresztowała zaledwie pięciu podejrzanych o bezprawne posiadanie broni.

Spoleczeństwo japońskie, zaniepokojone rosnącą liczbą krwawych porachunków między wrogimi sobie podziemnymi syndykatami gangsterskimi, wystąpiło z ostrą krytyką indolencji władz policyjnych.

Według oficjalnych danych w Osace działa 316 grup gangsterskich, więcej niż w jakimkolwiek innym mieście japońskim. Mniej więcej co dziesięć dni dochodzi do zbrojnych starć między bandami. W ciągu dziewięciu miesięcy ub. roku skonfiskowano w Osace kilkadziesiąt pistoletów automatycznych, ale jest to zaledwie drobna część broni znajdującej się w rękach gangów.

Coraz częściej pojawiają się w prasie informacje o powiązaniach policji ze światem przestępczym. Łapówkarze przyjmują oczy — na nielegalne gry hazardowe, oszustwa na wyścigach konnych i działalność domów publicznych pozostających pod „opieką” gangów.

(J.C.)

Sztuka przekładu

Sztuka przekładu nigdy nie cieszyła się u nas zbyt wielkim szacunkiem. Dają temu wyraz do dziś recenzenci, którzy omawiając książkę obcego autora, rzadko wspomną na łamach prasy nazwisko tłumacza, co dopiero mówić o rzetelnej ocenie pracy tłumacza. Toteż tłumacz pozostaje dla czytelnika najczęściej osobą najzupełniej anonimową. Trzeba być, co najmniej, Tadeuszem Boyem-Zeleńskim, aby zasłużyć sobie na skromną wzmiankę w potomnych. Wprawdzie przyznaje się chętnie, że są dzieła niemal nieprzekładalne, w których wkład pracy tłumacza równoważny jest niemal wysiłkowi autora, ale o tym także się tylko wie, rzadko zaś przyznaje się do publicznie.

Ten stosunek do sztuki przekładu ma liczne konsekwencje. Liczba tłumaczy już od lat prawie się nie powiększa, bo i posiadanie języków obcych nie jest naszą najmocniejszą

stroną, a praca translatorska wymaga nie tylko umiłowania literatury określonego obszaru językowego, ale także solidnych podstaw filologicznych.

Pomimo to nasze kontakty z literaturą światową nieustannie się rozszerzają. Właśnie dzięki tłumaczom, którzy rozbijają kulturowe bariery i sprawiają, że glob ziemski jest jakby mniejszy, przyczyniając się do prawdziwego zbliżenia narodów.

Pół biedy z prozą, choć jak wspominałem istnieje książka wymagająca od tłumacza szczególnych kwalifikacji. Tłumaczenie wierszy wymaga od tłumacza, już z góry, specjalnego daru widzenia i władania piórem. Oryginał narzuca tylko rygor formalny i treściowy, ale na jego kanwie powstaje najczęściej nowy utwór poetycki, zależny oczywiście od swe-

go pierwowzoru, choć w dużej części samostanny.

Przypominam te oczywistości w związku z bardzo ciekawą inicjatywą Zarządu Łódzkiego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Łódzkiego Domu Przyjaźni. W pałacyku przy ulicy Narutowicza organizuje się od pewnego czasu „Poetyckie Turnieje Tłumaczy”. Mają one coś z charakteru zawodów sportowych, ale służą szlachetnej sprawie aktywnej poznawania literatury naszych sąsiadów, a to przecież więcej niż najdoskonalsza nawet działalność popularyzatorska.

Dom Przyjaźni nie stroni zresztą od działalności popularyzatorskiej. Podczas pierwszego „Turnieju”, którego gospodarzem był znany tłumacz Tadeusz Chrościelewski, Maja Komorowska recytowała wiersze Anny Achmatowej. Także kolejne spotkanie, na którym swymi doświadcze-

niami w pracy translatorskiej, dzielił się Igor Sikirycy, otrzymało starannie opracowaną Magdalena Sieroszevska i Marek Barbasiewicz wystąpili z recitaleem poezji śpiewanej Eugeniusza Jewtuszenki.

Rezultatem pierwszego „Turnieju” jest parę przekładów wierszy Maji Borysowej „Zielone lato”, które wyszły spod pióra uczestników spotkania, a trzeba pamiętać, że Dom Przyjaźni odwiedza głównie młodzież. Nie są to może przekłady doskonałe, ale zaskakujące na zyczliwą uwagę już choćby dlatego, że ich autorzy po raz pierwszy zmierzli się z materią językową i nawet doznawszy artystycznej porażki, doznali satysfakcji z trudności tworzenia. Nawet tłumacze-profesjonalistki, mający za sobą ogromne doświadczenie w pracy translatorskiej, nieraz muszą przystać się do kapitulacji.

Nie wątpię, że kolejne przekłady uczestników „Turnieju” będą znacznie lepsze. I z satysfakcją powitam te nowe próby, zrodzone z umiłowania poezji i wiedzy o języku, którym trzeba walczyć tak sprawnie, aby tłumaczony wiersz zabrzmiał jak utwór własny. Własny, a więc dyktowany potrzebą wyobraźni i serca.

KONRAD FREJDLICH

LIGA
STADIONÓW

Nie umiałbym odpowiedzieć na pytanie: czy w przyszłości przez atomy, ale jest bezspornym faktem, że coś z tą pogodą nie tak, jak to dawniej bywało, a o czym starszy ludzie z tęsknotą opowiadają. Kiedyś podobno bywały zimy. A teraz? W Szczyrku, aby rozegrać kolejną narciarską konkurencję w Pucharze Europy trzeba było śnieg zwozić z wyższych partii gór. I kiedy to piszę, nie wiem, czy udało się to do końca. Na mapie pogody pokazywanej codziennie w telewizji same mżę, a za oknem deszcz.

Dla piłkarzy jednakże taka pogoda, gdyby tylko nie padała, może okazać się korzystna, bo liga piłkarska rusza już 27 lutego 1977 roku, a więc doświadczenie z dni kilka. Pamiętam, jak Leszek Jezierski i Paweł Kowalski w rozmowie publikowanej na łamach „Odgłosów” wyrażali obawy, że piłkarzom przyjdzie grać na zamrzniętych boiskach, a tu może być podobnie, jak było w Atenach — przyjdzie grać w błocie.

Wraz ze startem ligi piłkarskiej zmienia się regulamin „Ligi stadionów”, czyli rywalizacji widowisk. Wymyślił to przed laty Polska Agencja Prasowa i „Expressa Wschodni”, a bardzo poparli kibice. Wśród triumfatorów ligi tej byli już: poznaniak Lech, mielecka Stal i GKS Tychy. Kto następny?

Nowy regulamin „Ligi stadionów” daje każdemu klubowi, który na swoim boisku gości przeciwników, możliwość zdobycia 60 punktów. Przyznają je sędziowie, dziennikarze PAP i kierownicy klubów, a nie jak do tej pory kapitan przeciwnej drużyny. Punkty te przyznaje się za stosunek publiczności do drużyny przeciwnej, za obiektywizm, za stosunek do sędziowskich orzeczeń oraz za organizację meczu przez gospodarzy. Triumfator „Ligi stadionów” otrzyma nie tylko proporzeczek PZPN, ale też prawo do organizacji międzynarodowego meczu na swoim stadionie. To jest coś. Warto więc rywalizować nie tylko na boisku, ale i na widowni. Tylko jak o tym przekonać kibiców?

A sezon piłkarski zapowiada się nad wyraz interesująco. Oto już 2 marca 1977 roku we Wrocławiu dojdzie do spotkania tamtejszego Śląska z włoską drużyną SC Napoli. W dwa tygodnie później rewanż w Neapolu. Przewidywania kibiców są raczej pesymistyczne. Gornik Zabrze i warszawska Legia były już przecież znacznie wyżej w pucharowych rozgrywkach, czy więc Śląsk podzieli ich los? A może...

Przeciwnik zajmuje wprawdzie środkową pozycję we włoskiej lidze, ale przeciwnika nigdy nie należy lekceważyć. I — jak donoszą z Wrocławia — tamtejszy Śląsk nie ma zamiaru rezygnować z walki i nie chce lekceważyć przeciwnika. Solidnie też przygotowywała się do spotkania z Duńczykami polska kadra piłkarska, chociaż rezultaty spotkań kontrolnych nie wypadły najlepiej. Mecz w Atenach nie mógł się podobać i nie podobają się, ale też polscy piłkarze pojechali do Jugosławii i Grecji, nie po sukcesy, a po naukę. Jeśli więc Jacek Gmoch mówi, że zamierzenia zostały spełnione w 100 procentach, to nie widzę na razie powodu, aby mu nie wierzyć.

Na temat wczesnego startu ligi piłkarskiej panują u nas bardzo sprzeczne opinie. Ale jeśli popatrzyć na to od strony przygotowania do decydującego meczu, który 1 maja 1977 roku nasz zespół rozegra w Kopenhadze, to taką wczesną postać ligowych rozgrywek wydaje się bezspornie korzystną. Duńczycy są bowiem dziwnym przeciwnikiem. Janusz Cieślinski w „Głosie Pracy” cytował niedawno opinię Włodzimierza Lubaniewskiego sprzed meczu, jaki kilka lat temu Polacy rozgrali z Duńczykami: — Nam się z nimi ciężko gra — powiedział wtedy Włodzimierz Lubaniewski, i był remis 1:1.

W Danii piłkażnia jest bardzo popularnym sportem, uprawianym nawet w szkołach. Nie ma tam klubów zawodowych, a kluby amatorskie nie reprezentują wysokiego poziomu. Dlatego więc tak solidnie przygotowujemy się do spotkania z Duńczykami? Po pierwsze dlatego, że żadnego przeciwnika nie należy lekceważyć. A po drugie dlatego, że wielu Duńczyków gra w klubach zawodowych zachodniej Europy i jeśli oni stawiają się na zgrupowanie przed spotkaniem z Polską, a stawiają się na pewno, to może być bardzo ciężko. W zachodniej Europie będzie to pełnia sezonu ligowego, a więc i Duńczycy grający w tych klubach będą w pełni formy. Oto dlatego dobrze, że i my w tym roku wczesniej rozpoczynamy sezon ligowy.

W marcu jeszcze czekają nas rozgrywki w Pucharze Polski, które jednakże nie cieszą się tak wielką popularnością. Dla widzian będą o tyle atrakcyjne, że LKS stoczy trudny pojedynek z mielecką Stalą, a i Orzeł spotka się z bytomską Polonią. W maju natomiast — kiedy reprezentacja Polski będzie zajęta dalszymi przygotowaniem do mistrzostw świata w piłce nożnej — odbędzie się rozgrywki Pucharu Ligi. Z pewnością ciekawostką i ciekawą nowością. Rozgrywkę toczyć się będą w 4 grupach, a LKS występuje razem z mielecką Stalą i krakowską Wisłą. Półfinały 12 czerwca 1977 roku, a finał — 19 czerwca.

Prawdziwa liga stadionów.

BOGDA MADEJ

WACKAW BILIŃSKI
WRÓCIĆ
DO SIEBIE

Rys. Janusz Szymański-Glane

Rano Łanowiecki usiłował dozwonić się do swoich w Pobjojowisku. Niechby Batorowski wszedł do willysa, w południe byłby już z powrotem w domu. Kierownik poczty z wystraszoną miną oznajmił jednak, że poprzedniej nocy Wehrwolf dokonał aktów sabotażu. Był napad na posterunek milicji, są zabici. Wokół miasta zwalona niezliczona ilość słupów telefonicznych. Jak długo będzie trwała naprawa? Bóg raczy wiedzieć! Wszystkie ekipy naprawcze — cywilne i wojskowe — są w terenie. Najpierw trzeba się zatroszczyć o linię szczebińską. Lepiej nie czekać na połączenie jeśli to coś pilnego.

Łanowiecki zawrócił więc na stację. Naczelnik drapał się w głowę i radził jechać do Pily. Stamtąd może będzie coś do Pobjojowiska. Ewentualnie z Koszalina. Ze Stargardu na razie — to z westchnieniem — żadnej nadziei. Zaczynało to wyglądać na karę boską za podstępne, wiarolomne porzucenie Ireny.

Łanowiecki przeklinając ruszył na punkt kontrolny na rogatkach miasta. W zwykłej scenierii — szlabany, pasiaste budki, karykatury anachroniczne, bo nawojujące do bezwzględnej dobitki faszystowskiej bestii w jej barłogu, a także nowsze, obwieścujące triumfalnie: „nasze dielo prawoje, my pobiedili!” — na ławeczce, obok budki wartownika, przesiedział długi godzinny, skracając je sobie gadaniem z dyżurnymi regulierowcami. Z tymi dziewczętami należało rozmawiać — duszospisowo, nieźno, no nie sowism sierpiatno. Zwierzył się, że jest — byłym czogistą. Wdał się w żartobliwo-liryczne wspominki ze Smoleńszczyzny i Ukrainy.

W stronę Pobjojowiska nie jechały jednak żadne wozy. O zmierzchu ruch na szosie całkowicie zamarił. Trzeba było rozjeżdżać się za noclegiem. Przespał się w ponurej piętrowej willi, w połowie zajętej przez Niemców — uchodźców, w połowie przez braci rodaków. Na wszelki wypadek, półdrżąc z tobolami pod głową, ani na chwilę z garści nie wypuścił spłuwu, towarzyszyki, na którą mógł liczyć.

O świcie powędrował znów na punkt kontrolny.

Cała ta eskapada dawała mu się we znaki, był zmęczony. Złęgi za przydrożnym rowem. Wciąż jeszcze był pod wrażeniem kłeski, tej konkretnej, cielesnej. Uczuciowa kłeska, wygaśnięcie miłości, mało go obeszła. Walcząc z sennością obserwował żołnierki, krzepkie, znające mężczyzn, o ciałach napiętych wszystkie szwy gimnastorek. Z żadną z nich nie byłoby najmniejszych komplikacji. Nic z kompleksu Ireny, jak to w myślach nazywał. Gdy przysiadł obok niego, żartował, pod jakimś pretekstem dotykał ich piersi, klepał po jędrnych pośladkach. Z nimi mógłby być zdrów, odzyskać pewność siebie.

Pewny opieki tych kobiet przespał na poboczu drogi pół dnia. Obudziło go gwałtowne szarpnięcie: — Tankiści! Padniamajsia, tankiści, skariej! — Na szosie stała długa kolumna samochodów radzieckich, amerykańskich, zdobywczych niemieckich, czeskich, nawet francuskich renaultów. Wozy obsiadło nieprzebrane mnóstwo bab, kobiet i dziewcząt, w mundurach i kretonowych sukienkach, w furazerkach i chustkach na głowach.

Za radą regulierowczy, która powiedziała mu, że kolumna pojedzie przez Schlattenfelde (polskiej nazwy miasteczka oczywiście nikt tu jeszcze nie znał), Bohdan wrócił się do towarzysza pułkownika, komendanta szpitala i transportu. Była to kępka niewłasta w mundurze obwiezionym orderami, o twarzy tak srogiej, że na sam jej widok Bohdan struchlał. I się sprawdziło: pułkownik w spódnicy

cy nawet słuchać nie chciał błagań cywila. Mimo to dzięki pomocy regulierowczy Łanowiecki wyładował na ostatnim w kołumnie dzemście. (On ze tankist, w mieście z nami srażalsza, kontużeni itp., itp.) wśród leciwych kobiecinków, w głębokim, miękkim gnieździe umieszczonym na setce materaców. Kobiętki ubrane w wyblakłe, sprane, kretonowe sukieneczki, w chusteczkach zawiązanych tuż nad brwiami, wyglądały jak typowa brygada kolchozowa. Ledwie samochody ruszyły, żeński ten ludź zaczął wspaniewać z rosyjską niewiarygodną muzykalnością czastuski i smutne, życiowe ballady o nieszczęśliwych wojennej rozłąki i tymi zawodzeniami w try miga babiny — chyba salowe lub podkuchenne — uspiły Łanowieckiego tak, że o mały włos a przespał Pobjojowisko Pomorskie.

Zbudził się, gdy już mijali Bramę Piastowską. W biegu zeskokczył z dzemsa. Kobiety wyrzuciły za nim jego toboły. Walizka otworzyła się i rozsypała swą zawartość. Stał na środku jezdni. Tabor szpitalny oddalał się. Wokół dzwoniła sennie policzka miasteczka. Czy to dobrze, że tu wrócił? Rozejrzył się wokół. Domy, linia niskich dachów, biały stoib wieży ratuszowej — wszystko to było jego własne. Pochylny zagarnął do walizki swój dobytek rozsypany na asfalcie. Zatem wrócił. Było to uczucie, pełne rozterki i wątpliwości. Obawa wielkiej pomyłki. Ale wrócił — to był fakt.

Raz jeszcze pomyślał o Irenie. Zrobiło mu się jej żal, mdłe, niejasne uczucie, lecz zaraz okazała się silniejsza uciecha, że kawał się udał. Wymknął się z jej ręki! Wyobraził sobie minę Ireny w Poznaniu, bo chyba tam dopiero się poślubiła, a także minę jej matki, tej damy uważającej na formy towarzyskie. Aż przysiadł na walizce i nie panując nad sobą, zaniósł się śmiechem. Niepowstrzymanym, histerycznym, kretyńskim, poniżającym, jak atak choroby. Czego się śmiejesz, debilu? — sam się strofował. Co ci tak wesoło?

Wreszcie otarłszy łzy, zebrał bagaże i ruszył w stronę szpitala i willi von Paulitzkich. Chłopi wracający z Rzeszy, z robót, zmienili całe to stare, gotycko-renesansowe miasteczko w wioskę. Na ulicy pełno było kur i kaczek. Drogę przebiegła maciora z różowitkiem warchlakiem. Stawało się swojskie, sielskie, może marzenie o sielance pod gruszą mogło się i tu zrealizować. Obok betonowego bunkra przy posterunku milicji ujrzał wartownika z pepesą i drugą znajomą sylwetkę. Wróbel wpił leżąc na balustradzie schodków, z dionią wiejsko-fornalskim gestem wsparłą fasoniersko na biodrze, szpicem buta rozgrybiwał żwir podjazdu.

— Skąd to ták, z bagażami? — zapytał jadowitym tonem. Bohdan postawił walizkę na chodniku. Trzeba było wracać do domu inną drogą.

— Bardzo się za wami stesknilem — kontynuował Wróbel. — Zajdziecie do mnie na chwilę? — Teraz? Z tymi kłopotami? — Właśnie, właśnie — zawołał jakiegoś Kaczmarka. — Biercie no te rzeczy i jazda do mego gabinetu — rozkazał. A do Bohdana: — No, mowa krótka, idziemy. — I ciszej: — Tym razem nie skończy się na małym piwie.

Zabrniało to jak pogroźka. Gabinet komendanta nie zmienił się od ostatniej tu bytności Bohdana. Kaczmarek postawił walizkę pod oknem, worek zwałił tuż obok i bez słowa zniknął. Wróbel usiadł za biurkiem, jak zwykle bokiem, by ukazać tylko swą przystojną połowę twarzy. Wskazał Bohdanowi miejsce na dzielnym, bojowym, wysłużonym krześle. Chwilę milczał.

— Przyjemnie tak, prawda? — zawołał Bohdan zniecierpliwiony. Sierżant patrzył, podejrzliwie.

— Co macie na myśli? — Ze przyjemnie, jak spotkają się starzy przyjaciele. Powspominają dawne dzieje. Grunt to przyjaźń. Nawet pomilczę, tak jak my, teraz. I to miło.

— Acha! — mruknął Wróbel. — Jak zwykle żarty was się, Łanowiecki, trzymają. Dokuczyły mi te wasze żarciki. Pora was tego oduczyć.

Wróbel przez chwilę przyglądał się swym dioniom, zaciskał się w pięści, wyglądało to na hamowany atak furii.

— Satyryk, psia krew! Ostrzeżliście Bernata? — warknął bardzo cicho.

— Ostrzeżłem? przed czym? — Powiedzieliście mi?

Bohdan doznał przykrego uczucia: to był teren śliski. Trzeba było uważać na każdy krok.

— A co znowu z tym Bernatem? — spytał nadając głosowi swobodną intonację. Wróbel poderwał się z krzesła, nachylony nad biurkiem ukazał się swoją okropną połowę twarzy, spurpurowiał.

— Ty skurwysynu! — wyrzucił wściekłością. — Ty go ostrzeżli! Bohdanowi krew uderzyła do głowy, ręka sama skoczyła za pazuchę. Już nie patrzył w oczy Wróbelowi, a tylko na jego ręce i na guzik dzwonka na biurku. Niechno spróbuje kogo wzewać!

— Tego skurwysyna zapamiętam — powiedział z taką intonacją, że Wróbel aż się zachnął. — Uważać, co się mówi. I do kogo się mówi!

Niewiele brakowało, by zle słowa zamieniły się w jeszcze gorsze czyny. Łanowiecki trzymał dłoń za pazuchą na kolbie pistoletu. Tętniło mu w skroniach. Czuł, że drża mu palec, że poci się dłoń. Zawsze był porywczy. Teraz dawała go furia.

— Bernat zwiął — powiedział wreszcie Wróbel, już spokojnie. — I wy, Łanowiecki, jesteście za to odpowiedzialni.

— Macie jeszcze coś do powiedzenia? — Niełatwo będzie wam się wytłumaczyć. Przesłuchamy was na o-kolniczość, żeście go ostrzeżli.

Bohdan otarł pot z czoła.

— Przestańcie się, Wróbel, wygłupiać. Jego żona jest w ciąży. Łada dzień będzie rodzic. Gdzieś on ma z nią uciekać? Kazałem mu się ujawnić.

— Co to znaczy, kazaliście mu? — Pogadaliśmy, jak ludzie. Powiedzieliśmy, żeby to zrobił, a ja mu zapewnił pracę.

— Tu, w Pobjojowisku? — Właśnie tu. Kammelhar dał mi w tej sprawie wolną rękę.

Nazwisko Kammelhara sprawiło natychmiastowe wrażenie. Wróbel zmienił ton.

— No i co z tego wyszło? Bernat się nie ujawnił.

Łanowiecki odetchnął głęboko.

— A wy poszliście się ujawnić do takiego narwana jak tutejszy komendant, sierżant Wróbel? Wiecie, na jaką sławę sobie zarobiliście? Ludziom życie miłe. I jak byście go do tego ujawnienia przygotowali? W waszej piwnicy?

— Znowu mnie obrażacie. — To wyście mnie obrażali.

— Ja mam z wami życie! Gdzie ten Bernat się ujawnia? W Szczecinie?

— W Urzędzie Wojewódzkim. — Na ten raz wymknął się. Bo wam zaufałem. Bo porozmawiałem z wami po przyjaźni. Koniec z takimi rozmowami. Co było, to się skończyło. Już wam nie ufam.

— Powinienem na was skargę napisać. Jak się tu szarogacie. Po to mi dali szarżę, żeby taki pętał wymsyłał mi od skurwysynów?

— Chodził o was o przeprosiny? —

wykrztusił sierżant i nagle w jego oczach błysnęły chytre ogniki. — Niech i tak będzie. Przepraszam, ale rozmowa jest nie skończona. Toście jeździli do Stargardu? Po co?

— Po prawdzie, jak to wasz interes! Ale powiem. Odwołaniem narzeczona.

— To wasze walizki. Czemu odwołaliście ją z walizkami?

— Tego i tak nie zrozumiecie.

— Pewnie. Ja jestem prawie niepiśmienny. Nie to co pan dyrektor — zgodził się sierżant. — Ale żebyście się rozeszli w zgodzie: dacie zarząd do tych walizek?

— Rewizja?

— Nie. Próba. Z czystej ciekawości. Co też ludzie teraz wożą w walizkach. Jak żegnają się z narzeczona.

— Próba, powiadacie? Osobista? — Osobista próba. Dajcie zarząd. Pozwólcie, bo bez tego i tak się nie obejdzie.

Wystarczyło spojrzeć teraz na jego minę. Wróbel czymś tam sobie nablił głowę.

— Tylko uważajcie, żebyście nie znaleźli kontrewolucyjnej bibuły.

Wróbel spojrzął nań tak, jakby rozszyfrował bluff w pokerze. — Albo dolarów, co? — powiedział sztyderczo. Naciął dzwonek na biurku. W drzwiach stanęło dwóch jego ludzi. Rozgrywka trwała.

— Zrewidować ten bagaż — rozkazał Wróbel. — Uważnie!

Bohdan wstał z krzesła, podszedł do okna. Pomyślał o krzku, na której płynię w szarą pochmurną porę tego zmierzchu. Gdzie niesie go prąd? Przypomniała się scena na rynku, pewny, śmiertelny strzał. Cukierkowy świat Ireny już nie zaprzętał jego uwagi. Incydent na samochodzie zatarł się tak, jakby był historią sprzed miesięcy, sprzed lat. Cóż za ten było najważniejsze? Choroba. Jej objawy. Choćby ten sprzed chwili: gotów był w porwie wściekłości, tu, na posterunku, wdać się w strzelanie. Przyteplone poczucie rzeczywistości? Zanik poczucia odpowiedzialności? Schwächung des Geistes... Za plecami milicjanci kumosił się z zawartością walizki i torby. Wreszcie Wróbel przerwał ich zajęcie.

— Możecie odejść. — A gdy drzwi się za nimi zamknęły:

— Bardzo was przepraszam — to już pokornie — zrozumcie, nie mam prawa niczego zaniedbać... Nie będziecie chować urazy? Zrozumcie. Co ja? Świata dużo widziałem? Postrzębił mnie, w każdym bandziora widzę. Zresztą tu, do Pobjojowiska trefiłem nie przez przypadek. Sam tego chciałem.

— Czy ja wam co mówię? — Powiem wam coś na znak, że wam ufam.

— Znów?

— Tak. Znow wam ufam. Ja tu na coś poluję.

— I strzelacie na oślep.

— Tylko wtedy, kiedy widzi mi się, że trafia. Zebym miał kogós takiego jak wy do pomocy!

— Niech mnie Bóg uchwala od takich współników. Władza wam uderza do głowy!

— Co wy mówicie? Co to, to nie. Żadnych zawrotów głowy.

O zmierzchu Łanowiecki był wreszcie w swoim pokoju, znużony, ale i zadowolony. Śmieszyla go historia z Ireną. Awantura z Wróblem. Nigdy takim nie byłym, myślał. Schwächung des Geistes? Zajrzał do Lucji, była na dyżurze. Na jej umywalni stała butelka z wódką.

W wieczornej szarawce przypomniawszy sobie, że miał się postarać o jakąś lampę. Zapomniał o tym. Zapomniał o wielu sprawach. Jego mózg utracił swą dawną, jak to nazwać, pakowność?



CZARNY PAJAK

Podtytuł tego po-
kazanego tomu wy-
jaśnia wszystko.
„Czarny pajak” to
opowieść niesamo-
wicie z prozy nie-
mieckiej i teraz już
właściwie reklamo-
wać tę książkę nie
trzeba. Horror jest
znów modny. Na
Zachodzie kreśli się
filmy „krew mroź-
ce w żyłach”, a na-
wet i nasza ukochana
telewizja, od
czasu do czasu, ra-
czy nas filmem gro-
zy w kinie nocnym.
Tyle, że owa groza

najczęściej nie jest w stanie przestraszyć nawet podra-
żonej młodzieży wychowanej przecież na różnych „dobra-
nowskich” upiornych zbitkach i uszatkach.

W tej sytuacji warto więc odwołać się do literatury,
i to do literatury klasycznej, w której rolę się od „praw-
dziwych” duchów, upiórów i wampirów. Nawet, jeśli te
zjawy nie wywrą na nas większego wrażenia, to przynaj-
mniej wzbogacią naszą wiedzę literacką.

W „Czarnym pajaku” lista autorów opowiedzi z dreszc-
zem otwiera J. W. Goethe „Historia neapolitańskiej spie-
waczki”. Poza nim znajdziemy również utwory Heinricha
von Kleista, E. T. A. Hoffmanna, Heinricha Manna i
Thomasa Manna oraz wielu innych, mniej znanych autorów.
„Czarny pajak” zawiera 22 opowiadania. Autorem wybu-
ru, wstępu i not autorach jest Gerard Kozielek, a nie-
kie i w stylu Hustrwał całość Franciszek Starowieyski.

„Czarny pajak” — PIW, Warszawa 1976, str. 362, cena zł 30.

NOWY TEATR AMERYKAŃSKI

„Celem tej książki jest poinformowanie czytelnika o
wzrastających, jakie dotknęły życie i teatr w Stanach Zjed-
noczonych od pojawienia się agitacyjnego teatru masowego
Martina Luthera Kinga w 1954 roku, aż po rozpamiętanie
sie Living Theatre, gdzieś we Włoszech w końcu roku
1969. Źródłem tych wstrząsów stał się przemianach
sztuki, teatru od 1900 roku” — tak w ogromnym skrócie mó-
wi o swojej książce „Nowy teatr amerykański” Franch
Jotterand, dziennikarz specjalizujący się w tematyce kultura-
lnej, naczelny redaktor pisma „La Gazette Littéraire”,
współpracownik wielu czasopism francuskich.

Sprawy współczesnej kultury amerykańskiej, nowego tea-
tru i filmu w USA interesują Jotteranda szczególnie. Efek-
tem owych zainteresowań jest również książka „Nowy teatr
amerykański”, której autor przedstawia najnowsze prądy
i tendencje współczesnego teatru USA, poszukiwania, ciek-
awe też i dla polskiego czytelnika, bo w większości nie-
znane. Książka „Nowy teatr amerykański”, to zbiór repor-
taży — czego zupełnie nie sugeruje tytuł — wrażeń zapi-
sanych na gorąco, jeszcze nie wyzbytych z pierwszych
emocji, a przez to pozbawionych cech przytoczonego esaju
krytycznego. Dlatego też „Nowy teatr amerykański” może
użyć się nie tylko profesjonalistom, ale i tych, których
współczesny teatr po prostu interesuje.

Franch Jotterand „Współczesny teatr amerykański” —
przekład Z. i K. Braunowie, WAIF, Warszawa 1976, str. 306,
cena zł 85.

GORDON CRAIG

W nowym cyklu wydawniczym: „Artyści”, zainicjowanym
przez Państwowy Instytut Wydawniczy, ukazała się bio-
grafia, zmarłego przed 11 laty, jednego z największych
nowatorów scenicznymi i teoretyków sceny — Gordona
Craig. Autorem biografii jest syn, Edward Craig, najbliż-
szy współpracownik ojca.

„Wiele osób próbowało pisać o działalności artystycznej
Gordona Craiga, ale nikt nie mógł opisać jego życia. Gor-
don Craig jako człowiek pozostał ukryty w cieniu. Char-
akter mego ojca był tak skomplikowany, że badaczom
po dziś dzień trudno go zrozumieć. Wysoki fantazji
przeplatały się w jego postępowaniu z okresami świetle-
jczy, kaprysy i poważną pracę; używał kilkunastu
pseudonimów, jako roztopnie, chociaż zarazem irytującej
maski, ostentacyjnej go, gdy oklaskiwał lub śmiał się przy-
jął, atakował wrogów, czy też chwalił nieznanych” —
tak pisze o swoim ojcu w słowie wstępnym Edward Craig.
Można byłoby mieć wątpliwości, czy syn wielkiego arty-
sty i niezwykłego człowieka sprosta trudnemu zadaniu i
przedstawi rzeczywiście obiektywną, rzetelną biografię ojca.
Lektura książki przekonuje, że Edward Craig napisał bio-
grafię godną Gordona Craiga. Przedstawił nie tylko wielki
dorobek, udało mu się również nakreślić przekonywująco
sylwetkę niezwykłego człowieka.

Rodzicami Gordona Craiga byli: Ellen Terry, słynna
aktorka angielska Edward William Godwin, architekt sil-
nie związany z teatrem. I choćby dlatego relacja Edwarda
Craiga rozpoczyna się od lat, poprzedzających narodziny
Gordona Craiga. Przesuwa się na kartkach książki barwny
korowód postaci związanych z teatrem, z których wymie-
niły choćby tylko Isadore Duncan i Eleonore Duse. W książ-
ce znajdziemy również nazwisko Leona Schillera, ożki któ-
remu Gordon Craig i jego sceniczne idee stały się dość
wcześnie znane w Polsce.

Edward Craig — „Gordon Craig — historia życia”, przeło-
żyła: M. Skibniewska, PIW, Warszawa 1976, str. 376, cena
zł 99.

SZTUKA I KOMPUTERY

Wydawałoby się, że połączenie tych dwu pojęć: „sztuka”
i „komputery” nie może mieć z sobą nic wspólnego. Poci-
musza mieć „natchnienie”, aby móc pisać wiersze. Ma-
larzom potrzebny jest nie tylko talent. Muzykom słuch.
Skąd więc maszyny do tak suwerennych obszarów ludzkiej
działalności? Ale wystarczy tylko obejrzeć ilustracje, zain-
czono do książki Marka Hołyńskiego „Sztuka i komputery”,
aby przekonać się, że jest inaczej, że maszyna też potrafi

Mark Hołyński — doktor inżynier, absolwent Wydziału
Elektroniki Politechniki Warszawskiej, adiunkt Instytutu
Maszyn Matematycznych, autor wielu publikacji popular-
nonaukowych — podjął się omówienia aktualnego stanu
komputeryzacji różnych dziedzin sztuki. W książce swojej
— „Sztuka i komputery” — pokazuje on jednak nie to, w
jaki sposób komputery zastępują człowieka w tworze-
niu, ale w jaki sposób są mu pomocą.

Książka „Sztuka i komputery” ukazała się nakładem
„Wiedzy Powszechnej”, jako 361 pozycja serii „Omega”

Mark Hołyński — „Sztuka i komputery”, Wiedza Powszech-
na, Warszawa 1976, str. 192, cena zł 20.

WARTO PRZECZYTAĆ

- Ewa Białous — Niebo. Piekło. LSW. 1976, zł 15;
- Michał Dobrzyński — Europejska współpraca gospodar-
stwa PWE 1976, zł 30;
- Tadeusz Holuj — Róża i plonący las. Powieść o Lud-
wiku Warzyńskim. WL. 1976, tom III z 50;
- Jarosław Iwaszkiewicz — Zarządzie. Opowiadania. Czyt. 1976,
zł 20;
- Stefan Kawyn — Studia i szkice. WL. 1976, zł 65;
- Edward Kupczewski — Opisanie ciszy. Iskry. 1976, zł 10;
- Andrzej Kuniewicz — Eroica. WL. 1976, zł 40;
- Ryszard Liskowacki — Ballady okrutne. W. Poz. 1976, zł 17;
- Mechanizmy polskiej migracji zarobkowych. Pod redak-
cją Celly Bólskiej. KIW. 1976, zł 40;
- Tadeusz Mikulski — Miniatury krytyczne. PIW. 1976, zł 60;
- Leon Pasternak — Ja się nie śmieję. Iskry. 1976, zł 20.

PLASTYKA

SÓL KREACJI ZIEMNEJ

Zbigniew Władka, był do tej pory
znany bardziej jako „użytkowiec” —
autor kilku przestrzennych kompozy-
cji osiedlowych, dobrych wnętrz, lau-
reat łódzkiego konkursu „Habitat”
(nagrada za projekt kompozycji Par-
ku na Zdrowiu). Uważa siebie głów-
nie za rzeźbiarza. Podczas plenero-
wych wypraw do Suchedniowa i
Orońska, zaczął eksperymenty z kam-
ionką: modeluje w glinie, następnie
wypala i niektóre rzeźby barwi po-
lewą. Większość swoich kamionko-
wych prac pokazał na wystawie w
Salonie BWA przy Piotrkowskiej.

Należałoby taki pokaz — przez
zwykłą uczciwość — traktować w
sposób szczególny, i to z trzech za-
sadniczych powodów. Otóż jak nie-
łatwo obecnie zobaczyć nowe rzeźby,
wiedzą doskonale wszyscy obserwato-
rzy artystycznego życia. Rzeźbiarstwo
jest najtrudniejszą dyscypliną ze
względów technicznych: aby rzeźbić,
trzeba postarać się o właściwą pra-
cownię, wyszukać i przywieźć mate-
riał, transportować własne dzieła na
wystawę, a na dodatek czuwać nad
ich całością. Rzeźba jest coraz mniej
popularna, bo komu chciałoby się
spełnić wszystkie te warunki — oczy-
wiście rzeźba tradycyjna, pochodząca
z atelier, a nie wytwarzana przy po-
mocy techniki i przemysłowych ma-
teriałów. Po drugie: Władka ustawił
sobie podwójną barierę trudności, za-
miast lepić w glinie czy gipsie, kusi
go przypomnienie skomplikowanej
metody kamionkowego wypału. Ma
co prawda wieloletnie doświadczenie
i upór — ale co innego jest lepić
garnki czy drobne kształtki, a co in-

nego duże formy rzeźbiarskie. Wresz-
cie — jego ostatni pokaz demonstruje
zupełne odejście od dotychczasowej
linii stylizacyjnej, trudnej co prawda
do jednoznacznego określenia, lecz
generalnie podporządkowanej zasa-
dom swobodnej, geometryzującej ab-
strakcji. Kilkanaście najnowszych
prac utrzymanych jest w konwencji
realistycznej metaforyki — znów naj-
trudniejszej, bo obciążonej tradycją,
owocującą setkami znakomitych na-
zwisk i dzieł. To niemal dokładnie
tak, jakby zaciekle abstrakcjonista
zaprzagnął namalować rodzinny por-
tret we wnętrzu.

Opatrzony metaforycznymi tytułami
prace są realistycznymi powłokami
ludzkich kształtów, rozciągniętymi na
ścianach galerii, wierzchnimi płacami
skóry utrwalonymi za pomocą wypa-
lonej gliny. Noszą odautorską nazwę
„denudacji”, rozbiegania, zamachu
na ludzkie ciało — odwieczny
przedmiot rzeźbiarskich studiów.
Większość jest idealizowana, bezoso-
bowa niczym plastikowe powłoki lą-
lek, ale równocześnie konkretna dzie-
ki anatomicznym szczegółom. Roz-
płaszczone odlewy ludzkich kształtów
są gładkie i porowate jak skóra (to
właśnie załuga kamionki), ale zara-
zem „po rzeźbiarsku”, uczciwie brylo-
wate. W kojarzeniu takich właśnie
przeciwieństw wyraża się nowy styl
artysty, w każdym razie pewna jedn-
olność rzeźb.

Zwykle gdy chodzi o istotną dia-
twórczość artystów przemianę —
zjawia się pytanie o powody i moty-
wacje. Nie znaczy to, by rzeźby
Władki nie tłumaczyły się same. W

tym wypadku motywacja zawarta
jest w komentarzu Jerzego Katar-
sińskiego — wstępnie do katalogu wy-
stawy. „Podejrzewam, że w ogóle już
mu się (Władka — p.m.) znużyło
robienie tak zwanych dzieł sztuki,
będących w stosunku do świata od-
bieciem (...) On chce po prostu prze-
walać krajobrazy, najchętniej buldo-
żerem lub koparką. Ogłaszam, że
Władka poczuł się Kreatorem”.

Kreatorem — czego? Nie chciałbym,
aby pytanie ugodziło w autora tekstu
znakomitego wyjaśniającego — intencje
rzeźbiarza. Idzie mu o to, żeby trak-
tować oglądane na wystawie prace
jako modele rzeźb, które powinny
być zrealizowane w skali makro (to
jest w skali pejzażu) — bo dopiero
wtedy będzie można wykryć ich jed-
noznaczność z pejzażem konstrukcyj-
no, uznawając organiczność i naturalizm
w kategoriach filozoficznych. Zgła-
szam więc zastrzeżenia, gdy każą
mi (artysta i tłumaczcy go krytyk-
cyzelsko polysylabnie, gładkie, zabar-
wione nutką liryki i łagodnego ero-
tyzmu rzeźby widzieć, jako odlewy
zdjęte z samej Matki Ziemi — Płod-
nej Rhei. Nie bardzo wierzę, by
Władka rzeczywiście zamierzał trak-
tować Rodzicielkę buldożerem i pragnął,
aby jego prace uważać za mode-
le — konspekty tzw. „sztuki nie-
możliwej”, „sztuki ziemi” czy happy-
nismu jednocześnie. Są to bowiem do-
bre rzeźby, może tylko za mało „szko-
lujące” i dlatego — zdaniem artysty-
— wymagały przyprawienia solą
ziemnej kreacji.

ANDRZEJ MAJER

LEWYM OKIEM

GESTY I NIEPOKOJE

Istnieje bardzo wiele insty-
tucji, do których można wejść
wyłącznie za okazaniem prze-
puszczki, którą doradnie wysta-
wia portier czy nawet specjal-
na urzędniczka. Pracownicy tak-
kich instytucji posiadają legi-
tymacje służbowe wystawione
raz na zawsze a prolongowa-
ne co rok, uprawniające do
wejścia. Oczywiście — kto ma
taką legitymację, ten nie po-
trzebuję doradnej przepustki.

Okazuje się jednak, że jak
ktoś chce, to zawsze jakoś tam
sobie i bliźnim życie utrudni.
Bo na przykład znam niewiel-
ką instytucję, gdzie każdy pra-
cownik musi co dzień pokazać
legitymację portierowi. Portier
zna doskonale wszystkich pra-
cowników, wita się z nimi, zna
też ich legitymacje, bo je wid-
ział dziesiątki razy. Wciąż te
same legitymacje, bo przecież
co dzień nowych się nie żąda.
Ale jest zarządzenie i ten sam
człowiek temu samemu czło-
wiekowi pokazuje co dzień tę
samą tekturkę. Żadnego zna-
czenia ten gest nie ma, jest
gestem rytualnym, liturgicz-
nym, jest obrzędem ku chwale
formalistyki. Ciekawy jestem,
czy na przykład ktoś z kie-

marnotrawstwo zaczyna się
przez przedruknięcie w naszych
portach, na naszych stacjach
i stacyjkach, na naszych pla-
cach przedrukunkowych. To pe-
wne, że od Szwedów i Finów
możemy na podstawie kontrak-
tów dochodzić wszelkich strat,
zawinionych przez nich. To
pewne, że dochodzimy energicz-
nie tych strat. Pozostaje
więc smutny domysł, że
szwedzki papier marnują pol-
skie ręce. Cóż pomoże zmniejs-
zenie jeszcze kilku formula-
rzy, zlikwidowanie jeszcze je-
dnej „metki” z instrukcją do
wkładania pończoch, kiedy to
takie maleńkie piwo wobec
tamtých tysięcy ton, ciskanych
dosłownie w błoto?

Jednocześnie zaś podaje nam
to samo poważne pismo, że
przeznaczonymi na eksport
stoją na przejściach granic-
nych po 80 dni i władze kole-
jowe państw sąsiednich od-
mawiają ich przyjęcia z po-
wodu usterek technicznych i
niewłaściwego załadowania.
Osiemdziesiąt dni! Już sto lat
temu taki czas wystarczył pa-
nu Fielesowi Foggowi na ob-
jechać całego świata dookoła
i uwolnienie po drodze księ-
żniczki hinduskiej z rąk
oprawców, jak to pięknie opi-
sał pan Verne. Za te opóźnie-
nia nasi zagraniczni kontra-
henci też niewątpliwie potrafią

stuknąć nas zdrowo po kie-
szeni, nie mówiąc o tym, że w
ostrej konkurencji na rynkach
światowych momentalnie spa-
damy parę okrążeń do tyłu. Co
to się dzieje z tymi załadun-
kami, przedrukunkami, usterka-
mi wagonów? Przy imporcie
pięć procent towarów, czyli co
dwadzieścia wagon, idzie na
śmieci, przy eksporcie wagon
czeka 80 dni, czyli prawie
trzy miesiące, na usunięcie us-
terek — ileż to wszystko ko-
szuje, jakie to kolosalne i
wielorakie rezerwy są najwy-
czajniej zaprzepaszczone.

Nagradzamy — jak najłus-
niej — każdy pomysł, każde
pociągnięcie, wniosek, inicja-
tywę i inicjatywkę, jeżeli ob-
iecuję ona choćby o cał lep-
sze wykorzystanie sił i środ-
ków produkcji. Setki tysięcy
ludzi uczciwie mogli się
głowi nad usprawnianiem wła-
snej pracy, podniesieniem wy-
dajności i gospodarności, i nie
czynią tego dla premii i na-
grody. A ci, co załadowują i
przedawają? Gdzie oni są,
gdzie ich wnioski, ambicje i
osiągnięcia? Czy żaden niepo-
kój nie mać im nocnego wy-
poczynku? Czy nie widzą, jak
ogromnie dużo od nich, wła-
śnie od nich, zależy?

CWIEK

PROPOZYCJE

JAK REAGOWAĆ NA KRYTYKĘ?

Na półkach księgarskich ukazuje
się ostatnio wiele poradników: dla
majsterkowiczów, dla tych, którzy
chcieliby sami przyknieć w domu
tapety, dla wędkarzy, dla zespo-
łów amatorskich, dla zmotywo-
wanych i tak dalej i tym podob-
nie. Myślę, że przydałby się bar-
dzo i to bardzo, bardzo poradnik
pod takim samym tytułem: JAK
REAGOWAĆ NA KRYTYKĘ? Ta-
kiego poradnika nie ma i ma
można spodziewać się, że nie bę-
dzie. Może wreszcie Jerzy Witold,
który już próbował radzić różnym
ludziom, zdoła się na odwagę
i napisze „Vademecum krytykwa-
nego”. Może?

Sprawa jest jednakże o tyle lat-
wa, że o krytyce — a w tym i
krytyce prasowej — napisano już
praktycznie wszystko, tyle tylko,
że ta ogromna skarbnica wiedzy
krytycznej, a raczej wiedzy o kry-
tyce rozrzucona jest po różnych
pismach, książkach i wypowie-
dziach. Wystarczyłoby zebrać to
wszystko do kupy, komentarzem o-
patrzeć i dzieło gotowe. Szczerze
zachęcam, bo przy odrobinie po-
cucia humoru, u autora może po-
wstać dzieło wiekopomne, które
nie tyle ku pożytkowi służyć bę-
dzie, co ku rozbawieniu naszych
rodaków.

Gdyby taki odważny się znalazł,
to dorzucam mu do wielu cennych
wypowiedzi skromny przyczynek z
praktyki własnej i innych. Otóż w

sługując się bardziej finezyjnymi
i aluzyjnymi żartami.

Z stycznia 1977 roku w „Odgło-
sach” miałem nieszczęście opubli-
kować felieton pt. „A czas płynie
nieustannie”, w którym to felie-
tonie zastanawiałem się nad bra-
kiem szacunku dla szybko upły-
wającego czasu, dostrzegając w
tym spore rezerwy. Taki pogląd
nie jest niczym nowym, mówi się
i pisze o tym od dawna i od daw-
na panuje u nas — niestety —
brak postrzegania czasu. Wśród
przykładów na taki stan rzeczy po-
dałem historię o — jak to sformu-
lowałem — wymianie czy zamia-
nieniu gazu przy ulicy Wrocławskiej
w Łodzi. A rzecz się działa się w
grudniu 1973 roku i — jak mnie
poinformowano — gaz w blokach
przy tej ulicy miał być włączony
23 grudnia 1976 roku.

W felietonie tym napisałem
między innymi:
„...w chwili, gdy ukazał się ten
felieton, problem dla mieszkań-
ców ulicy Wrocławskiej nie będzie
już aktualny, bo beda mieli gaz
chyba, że znów zbytnio rozbawieni
okresem przedświątecznym gazow-
niczy — pardon, to nie aluzja —
nie licząc się z czasem okres ten
przedłuża”.

I jeszcze podzieliłem się z Czy-
telnikami następującą wątpliwością:
„Ciągle nie wiem, czy dla za-
miany gazu kokosowiczego na gaz
ziemny potrzeba kilkunastu dni?”
Mazowieckie Zakłady Gazownicze
przysłały mi odpowiedź, która w
zasadzie nie jest przeznaczona dla
mnie, a w której wyjaśniają, że
to nie była wymiana gazu tylko
rur i bardzo dobrze, bo — jak
pisał — ma to „bezpłatny wpływ
tak na obniżenie strat gazu, jak i
na bezpieczeństwo mieszkań-
ców...”. W domach przy ulicy Wro-

clawskiej gaz był wcześniej niż 23
grudnia 1976 roku dzięki świadom-
ości żłogi o społecznej potrzebie
skrócenia terminu wykonania
prac”, ale nadal nie wiem, czy
moje pytanie postawione w cyto-
wanym felietonie było słuszne, czy
potrzeba w ogóle na to tyle czasu?
Dyrektor Zakładu Gazowniczego
— Łódź, autor pisma, zarzucił mi
wprawdzie, że nie znam się na wy-
mianie rur i słusznie, że nie mus-
zę oraz, że moje obawy były
„nieuzasadnione...nie znalazły po-
twierdzenia, chyba, że oparte były
na osobistym doświadczeniu, od-
nosnie „zbytłego rozbawienia w
okresie przedświątecznym”. Filut
z tego dyrektora, i nie miałbym
nie przeciwko temu, gdyby odpo-
wiedź, jaka otrzymałem była adre-
sowana do mnie. Ale nie. Oto
pełny adres wnidnielacy na piśmie,
które jest tylko o d p i e m: „MA-
ZOWIECKIE ZAKŁADY GAZOW-
NICZE, ul. Kruczkowskiego nr 2,
WARSZAWA”. Aby więc było wra-
żliwość podaje numer pisma:
JL/012-2/77 z 28 stycznia 1977 roku.

Rest to więc nie odpowiedź re-
dakcji. Od osób na to wrażliwych,
jakie ukazały się na łamach tego
pisma, ale o d p i s p i s m a wyjaśnia-
jącego, adresowanego do jed-
nostki i nadrzednej w któ-
rym to autor pisma, dyrektor Za-
kładu Gazowniczego Łódź (ul.
Targowa 18) — inż. Henryk Weita-
ra pozwala sobie na czynienie wo-
bec osób trzecich aluzji zupełnie
niewzbudnych, a skierowanych
pod moim adresem. Inż. H. Weita-
ra pisze jeszcze: „Cieką i odpo-
wiedzielną pracą nie uważa” nam
na zabawę...”. A to, co zrobił
nie jest przywilejem „zabawy”, bo
ma w prawda wstawie bardzo
brzydkie określenie?

MARCIN RODAK

Wódz Młodej Polski, teoretyk „nagiej duszy”, studiował przez pewien czas architekturę i medycynę, zanim ostatecznie został dramaturgiem i powieściopisarzem. W czasie jego pobytu w Berlinie, za pośrednictwem wielkiego liryka niemieckiego, Richarda Dehmila, poznał Przybyszewski niemieckiego chirurga, dra Schleicha, który miał własną klinikę chirurgiczną i najlepszy fortepian Steinwaya w Berlinie.

Wizyta była zapowiedziana. Popularny chirurg, uprzedzony o wizycie Dehmila i Przybyszewskiego, zaprosił do swojej willi najbliższych kolegów, którzy mieli poznać genialnego Polaka: Przybyszewski był już autorem kilku prac literackich napisanych w języku niemieckim, które wśród miejscowej „modernity” zrobiły duże wrażenie. Uchodził również wśród Niemców za znakomitego interpretatora muzyki Chopina i miał w czasie tej pierwszej wizyty u Schleicha dać koncert na jego wspaniałym fortepianie. Przybyszewski w muzyce uznawał tylko „mocne uderzenie” i trzymając prawy pedał fortepianu pod stałym naciskiem, wywoływał taką kakafonię tonów, że potęgą uderzenia i mieszaniną tonów tworzących dysharmonię dźwięków, wywoływał u słuchaczy istotnie niemale wrażenie.

Doktor Schleich zaprzyjaźnił się jednak z Przybyszewskim, z powodów, których nasz pisarz zupełnie nie znał. Otóż pewnego dnia Przybyszewski wyznał Schleichowi, że studiował medycynę i nawet wynalazł „przypadkowo metodę miejscowego znieczulenia”. Schleich zainteresował się pomysłem Przybyszewskiego i później wykorzystał ten pomysł praktycznie, uchodząc w dzisiejszej medycynie za właściwego wynalazcę miejscowego znieczulenia.

Należy przypuszczać, że profesor doktor Carl Schleich zrobił na wynalazku Przybyszewskiego duży majątek, o czym Przybyszewski chyba nie dowiedział się nigdy.

Pikantnym szczegółem tej znajomości ze Schleichem jest fakt, że obaj starali się rów-

nocześnie o rękę ślicznej i czarującej Dagny Juel, ale Przybyszewski zwyciężył konkurentów i został mężem pięknej Norweżki.

Profesor doktor Carl Schleich, który chętnie przebywał w towarzystwie cyganerii

Przeglądałem te rysunki z uwagą i przysyłał mi na myśl moje własne prace — rysunki preparatów Jurgensa i przekroje zwojów mózgowych.

Gdy tak siedziałem, zatopiony w kontemplacji nad kiedyś tak dla mnie bliskimi szczegółami tych mikroskopijnych cudów natury, olśniła mnie nagle, niczym błyskawica, pewna myśl:

— Stanisławie! — zawołałem — przecież ośrodek nerwowa gra w organizmie ludzkim rolę tłumika, analogicznego do tłumików w pianinach lub

Witkowskiego robiłem przez pół godziny na sobie próby z różnymi zastrzykami, roztworów soli o składnikach podobnych do krwi. Stwierdziłem przy tym, że woda jest pierwszym szeregiem środkiem znieczulającym, jeżeli chodzi o usunięcie uprzednio wywołanych podrażnień. Podrażnienia te dają się zneutralizować, jeżeli do zastrzyku dodamy 1/2 promila soli kuchennej. Roztwór fizjologiczny soli wywołuje bowiem wrażenie, jakoby podrażniona tkanka opływał strumień krwi.

Te obserwacje były podstawą moich badań. Wkrótce potem doszedłem do właściwych, decydujących wyników. Stwierdziłem bowiem, że gdy się dodaje kokainę do roztworu soli kuchennej o stężeniu 1/2 promila, skuteczność środków znieczulających wzrasta się kilka tysięcy razy.

Tyle pamiętnik dra Schleicha. Dodajmy jeszcze, że w tym czasie, gdy Przybyszewski odwiedzał wspaniałe mieszkanie i prywatną klinikę chirurgiczną doktora, sam mieszkał w Berlinie z Dagny w największej nędzy, a jego młoda małżonka musiała sprzedać cenne pamiątki rodzinne na zapłacenie zaległego komornego u niemieckiej gospodyni. Pożywał wówczas od swego przyjaciela, Richarda Dehmila, po „parę marek, nie mając z czego żyć. Charakterystyczne, że Przybyszewski nie zdawał sobie zupełnie sprawy z epokowej wartości swojego wynalazku, na którym doktor Carl Schleich zrobił grube miliony, wynalazek bowiem opatentował i dobrze sprzedał niemieckim producentom specyfików farmaceutycznych. Na owe czasy wynalezienie miejscowego znieczulenia było wydarzeniem epokowym — i dziś, coraz bardziej ulepszany, znajduje on w świecie jak najszersze zastosowanie.

Doktor Carl Schleich, który równocześnie z Przybyszewskim starał się o rękę pięknej Dagny Juel, wiedział bardzo dobrze, w jak nędznych warunkach materialnych znajdował się wówczas młody pisarz ze swoją żoną, lecz nie przyszedł mu z pomocą materialną ani wówczas, ani nigdy później. W niemieckich encyklopediach i wszelkiego rodzaju słownikach klinicznych i lekarskich, które każdego roku wychodzą drukiem w Niemczech, jako wynalazcy miejscowego znieczulenia figuruje tylko nazwisko Schleicha.

KAZIMIERZ PASZKOWSKI

NIEZNANY EPIZOD Z ŻYCIA STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

artystycznej; która w Berlinie zbierała się w gospodzie „Pod czarnym prosiakiem” (Zum Schwarzen Ferkel), opisał swoją młodość w pamiętnikach zatytułowanych „Słoneczna przeszłość”. (Besonmonte Wergangenheit).

Zacytujmy wyjątek z książki Carla Schleicha, dotyczący sprawy wynalazku Przybyszewskiego o miejscowym znieczuleniu. Oto fragment z jego pamiętników:

„Było to przypuszczalnie w roku 1890. Przybyszewski, znany poeta, który także porywająco grał Chopina, pokazał mi pewnego razu swoje cudowne rysunki z ówczesnego anatoma Uniwersytetu Berlińskiego. Były to pięknie wykonane szczegóły struktury zwojów nerwowych,

skrzypcach. Jest to po prostu przełącznik rejestrów lub coś w rodzaju regulatora oporu.

— Chłopcze! — krzyknął na to Przybyszewski — to jest rewelacyjna myśl. Albo zwarjowałeś, albo też jest to objawieniem.

Wy tłumaczyłem mu w kilku słowach, że można by stepić wrażliwość nerwów, poddając je działaniu prądu elektrycznego. Myślenie jest przecież zsynchronizowane z rytmem obiegu krwi i że jeżeli moje założenia są słuszne, wystarczy w poduszeczki palców zastrzyknąć krew o zmienionych składnikach, aby dowolnie stłumić pobudliwość nerwów, lub też na odwrót — wywołać ich przeczulenie.

Wpadłem do laboratorium i w obecności mego asystenta



Foto: Archiwum

ROMAN GORZELSKI

FRASZKI ŁÓDZKIE

SZEŚĆ WIEKÓW TEMU

O KOLORACH

Dokoła wioska —
A w środku... Piotrkowska!

Łódź nareszcie kolorowa:
Biel się tutaj nie uchowa.

RENEANS SECESJI

O PIÓRACH I MAGNESIE

Dziś się martwi cały kraj,
Aby w Łodzi było naj...

Łódź jest jak słaby magnes:
Przyciąga niemrawo,
Bo co lepsze (wieczne) pióra
Lecą do Warszawy.

HISTORIA HERBOWA

OKROPNE UCZUCIE

Opowieść to smutna,
Opowieść to krótka:
Niegdyś było tu rzek siedem,
Dziś jest (w herbie) łódka.

Zawiść łodzian nie zna granic
Od Kuluszek do... Pabianiec

POWIEKSZENIA

TAKIE SOBIE MYŚLI

„Dziennik Popularny” od dłuższego czasu serwuje swoim czytelnikom jakąś stosowną maksymę. Na przykład: „Rozum jest silniejszy od siły”, albo: „By rozumnie postępować, sam rozum nie wystarcza”, albo też: „Umysł nasz nie zazna spokoju, jeśli jasno nie zanalizuje tego, co przedtem stworzył nieświadomie...”

Wszystko to jest — oczywiście — prawdą, ciekawe tylko, dlaczego „Dziennik” uważa, że są to „myśli takie sobie”.

KONTRASTY

Prasa doniosła, że w Łodzi powstał Bank Informacji o Niezawodności Maszyn, którego działalność ma przynieść milionowe korzyści.

Jednocześnie prasa donosi, że mimo — okresowo — wiosennej wręcz pogody opóźnienia pociągów stały się już regułą, przynosząc milionowe straty. Per saldo wyjdziemy na swoje.

CIĘKAWOSTKA FILATELISTYCZNA

Także w roku bieżącym Poczta Polska wyda tradycyjną serię z okazji „Dnia Znacza”. Będą na niej przedstawione... monety. Nie wykluczone, że Mennica Polska wypuści nowe wersje dziesięciocentówek z wzorunkami znaczków.

NOWOŚCI

W „Dzienniku Popularnym” znów mamy informację o „nowościach dla domu”. Wśród listy towarów znaleźliśmy takie rewelacje handlowe, jak lakier do powlekania rur, płyn do konserwacji zamków, szcztolki i płyny do czyszczenia dywanów...

Wyda się, że zapomniano o takich nowościach, jak wycieraczka pod drzwi, łyżeczki do herbaty itp. Ostatnio Zakłady w Winiarach wyprodukowały jako... nowość „Paszet firmowy”. Firma w Winiarach jest znana i dobra — a też się wygłupia. Właściciel trudno mieć „Dziennikowi Popularnemu” za złe, że za nowość uważa szcztolkę i lakier.

Wiosna w „Uniwersalu”

NA POWITANIE WIOSNY DT „UNIwersal” PRZYGOTOWAŁ DLA SWOICH KLIENTÓW DUŻY WYBÓR

- KONFEKCJI
- DZIEWIARSTWA
- GALANTERII WŁÓKIENNICZEJ
- TKANIN DEKORACYJNYCH

Do nabycia są także artykuły chemiczne — czystościowe

- TAPETY KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

ZAPRASZAMY DO „UNIwersalu”,
Łódź, pl. Niepodległości 4.

I
O
S
N
A



507/k